



BOLESŁAW LEŚMIAN

---

**Baśń o Aladynie i o  
lampie cudownej**

BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY SEZAMOWE

## *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej*

Kto pragnie dowiedzieć się szczegółowo o tym, jakim sposobem Aladyn został właścicielem lampy cudownej, ten niech przeczyta uważnie *Baśń o Aladynie i o lampie cudownej*. Łatwo tę baśń odróżnić od innych baśni, ponieważ zaczyna się od słów: „W pewnym mieście chińskim mieszkał ubogi krawiec Mustafa wraz z żoną Marudą”.

Przepisaliśmy tę baśń dokładnie z olbrzymiej czarodziejskiej księgi, którą pewien czarodziej posiada w swojej bibliotece. Baśń ta była drukowana złotymi literami na czerwonym pergaminie.

Czas jednak baśń tę rozpocząć, gdyż jest nader ciekawa.

Książka

\*

W pewnym mieście chińskim mieszkał ubogi krawiec Mustafa wraz z żoną Marudą. Mustafa i Maruda mieli jedynego syna, któremu na imię było Aladyn.

Gdy Aladyn doszedł do dwunastego roku życia, ojciec chciał go kształcić w rzemiośle krawieckim. Próżno jednak zachęcał syna do pracy. Aladyn był tak leniwy, że pracy unikał i dzień cały spędzał na gonitwach i zabawach z ulicznikami. Przez trzy lata Mustafa dokładał wszelkich starań, aby zbudzić w Aladynie zapał do pracy. Wszelkie jednak starania speliły na niczym. Aladyn co chwila wymykał się z domu na ulicę i włóczył się po mieście z rozmaitymi nicponiami.

Mustafa załamywał dłonie i mówił do Marudy:

— Poradź mi, moja Marudo, co mam robić z tym leniuchem Aladynem? Jak przemówić do jego rozumu? Jesteśmy przecie ubodzy i nie zostawimy mu żadnego spadku. Ma już lat piętnaście, a dotąd nie nauczył się rzemiosła, które by mu pozwoliło zarabiać na kawałek chleba. Włóczy się po mieście z nicponiami i sam się wkrótce stanie takim nicponiem, jak jego towarzysze.

Maruda smętnie kiwała głową i odpowiadała:

— Nie ma rady, mój drogi Mustafu, nie ma żadnej rady. Nikt i nic nie zmusi Aladyna do pracy. Jest to największy leń, jakiego ziemia kiedykolwiek nosiła na sobie. A przy tym posiada tyle upor i przekory, że ani groźbą, ani prośbą nie można wpłynąć na jego charakter. Gdybym przynajmniej miała drugiego syna, pracowitego, mogłabym wówczas śmiało powiedzieć, że mam dwóch synów, z których jeden jest utrapieniem, lecz za to drugi — pociechą. Wszakże nieogłędny los obdarzył mnie synem jedynakiem, tego zaś jedynaka dotknął lenistwem nieuleczalnym. Mogę więc powiedzieć, że mam jednego tylko syna, a i ten jeden jest moim utrapieniem!

Nieposłuszeństwo i upór Aladyna taką rozpaczą przejęły Mustafę, że dostał dziwnej i niebezpiecznej choroby, od której oczy wyszły mu zgoła na wierzch, a język, boleśnie obrzmiały, bez ustanku trzepotał się w ustach, bełkocąc jakieś niewyraźne i niezrozumiałe słowa.

Przysłuchując się uważniej temu bełkotaniu, można było z trudem rozróżnić, iż biedny Mustafa chorym i obrzmiałym językiem wciąż powtarza: „Aladyn, Aladyn, Aladyn!”

Mustafa chorował trzy dni i trzy noce, a nad ranem dnia czwartego umarł.

Po śmierci Mustafy Maruda została bez środków do życia. Nie miała nadziei na pomoc syna, bo Aladyn nie znał żadnego rzemiosła i nie potrafił zarabiać. Włóczył się wciąż

Lenistwo, Syn, Ojciec,  
Matka

Choroba

po mieście z ulicznikami i wracał do domu albo późno w nocy, albo dopiero nad ranem. Musiała więc Maruda sprzedawać po kolei rozmaite sprzęty domowe i za osiągnięte ze sprzedaży pieniądze kupowała chleb i mleko, aby wykarmić siebie i swego syna — nicponia.

Lecz wkrótce i sprzętów w domu zabrakło. Nie było co sprzedać ani za co chleba kupić. Nędza i śmierć głodowa czekały Marudę i Aladyna.

Doprawdy nie wiadomo, co by się z nimi stało, gdyby nie wypadek szczególny i niespodziany, który zupełnie odmienił ich życie.

Pewnego poranku przybył wprost do Chin z dalekiej Afryki słynny i potężny czarodziej Roeoender. Był on tak straszny, że nawet imię jego z trudnością można było wymówić. Kto wymawiał to imię: „Roeoender”, ten albo się jąkał, albo ze strachu tracił pamięć i nie mógł przypomnieć sobie tego imienia.

Roeoender znał dobrze czarną i białą magię, posiadał też sztukę zaklęć i wróżb oraz sztukę poszukiwania skarbów podziemnych. Miał on tablicę zaklętą z czarnego marmuru. Tablicę tę posypywał piaskiem — i natychmiast ziarenka piasku układały się na powierzchni tablicy w rozmaite znaki, figury, postaci i kształty. Z tych kształtów, postaci, figur i znaków Roeoender zgadywał wszystko, cokolwiek chciał zgadnąć.

Pewnego razu, siedząc na samym brzegu Afryki, Roeoender posypał piaskiem swoją tablicę, aby się dowiedzieć, gdzie się znajduje lampa cudowna, o której istnieniu opowiedział mu jeden złoty wąż afrykański. Piasek na tablicy zaczął się poruszać, skakać, tańczyć i wirować aż wreszcie ułożył się w kształt chińskiego miasta. Na tablicy zjawily się małe domki z piasku, a pod domkami — napis też z liter piaskowych. Napis był taki:

LAMPY CUDOWNE ZNAJDUJE SIĘ W MIEŚCIE CHIŃSKIM, W PODZIEMIACH ZA OGRODAMI. WYDOBYĆ JĄ Z PODZIEMI MOŻE TYLKO PEWIEN CHŁOPAK, KTÓRY SIĘ NAZYWA ALADYN. NIKT INNY PRÓCZ ALADYNA NIE MA PRAWA ZEJŚĆ W PODZIEMIA, ABY STAMTĄD WYDOSTAĆ LAMPĘ CUDOWNĄ. KTOKOLWIEK PRÓCZ ALADYNA DOTKNIĘ SWĄ DŁONIĄ TEJ LAMPY, TEN UMRZE NATYCHMIAST.

Roeoender przeczytał uważnie napis, zdmuchnął piasek z tablicy zaklętej, schował ją w zanadrze i postanowił zaraz udać się do miasta chińskiego. W tym celu rozpędził się wzdłuż brzegów Afryki i uczynił tak wielki i czarodziejski skok w powietrze, że przeskoczył od razu z Afryki do Chin. W Chinach kupił bystrego rumaka i zaczął konno podróżować z miasta do miasta tak długo, aż wreszcie znalazł miasto podobne do tego, które zjawilo się na tablicy zaklętej.

Było to rzeczywiście miasto rodzinne Aladyna.

Aladyn, jak zazwyczaj, wałęsał się ze swymi towarzyszami po ulicach miasta.

Jeden z towarzyszy rzucił w Aladyna piłką i zawołał:

— Aladynie, Aladynie! Od czasu śmierci twego ojca Mustafy posmutniałeś bardzo. Błądasz się z nami po mieście, ale nie chcesz bawić się z nami w piłkę. Do domu też nie chcesz wracać, bo czeka cię tam głód i nędza. Czyś widział się dziś ze swoją matką Marudą?

Roeoender przechodził właśnie przez ulicę i posłyszał te słowa.

Zanim Aladyn zdążył odpowiedzieć swemu towarzyszowi, Roeoender zbliżył się do niego i rzekł:

— Mój drogi chłopcze, opuść na chwilę swych towarzyszy i chodź ze mną, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Aladyn spojrział na Roeoendra i odrzekł:

— Nie znasz mnie wcale, ani ja nie znam ciebie, więc jakim sposobem masz mi coś ważnego do powiedzenia?

Roeoender uśmiechnął się dobrotliwie, pogłaskał Aladyna po głowie i rzekł głosem łagodnym:

— Mylisz się, mój roztropny chłopcze. Wszak nazywasz się Aladyn?

— Tak — odparł Aladyn — rzeczywiście jest to moje imię.

— A więc widzisz, że znam cię dobrze — ciągnął dalej Roeoender. — Powiem ci nawet więcej: matka twa ma na imię Maruda, a ojciec twój, który już umarł, nazywał się

Czary, Omen

Podstęp, Rodzina, Fałsz

Mustafa. Byłeś dawniej weselszy, a teraz po śmierci ojca posmutniałeś bardzo.

— Wszystko to prawda — rzekł Aladyn. — Widzę teraz, że znasz mnie dobrze, więc chętnie pójdę z tobą. Ciekawy nawet jestem, co masz mi do powiedzenia?

— Zaspokoję twoją ciekawość, gdy będziemy sam na sam — rzekł Roeoender i skierował kroki w boczną ulicę, gdzie było pusto i samotnie.

Aladyn poszedł za nim.

Przystanąłi w bocznej ulicy, i Roeoender rzekł do Aladyna:

— Zdziwi cię zapewne to, co ci powiem w tej chwili. Jestem bratem twego ojca Mustafy, a więc twoim stryjem. Dwadzieścia lat temu wywędrowałem z Chin do Afryki i odtąd nie widywałem mego brata Mustafy. Nie wiedziałem nawet, co się z nim dzieje. Zawsze jednak tęskniłem do niego, bom<sup>1</sup> kochał go z całego serca. Pewnego razu przyśnił mi się mój brat Mustafa i powiedział mi we śnie: Jestem chory i wkrótce umrę. Wróć do Chin i zaopiekuj się moją żoną Marudą i moim synem Aladynem. — Sen ten wzruszył mnie bardzo. Natychmiast wyruszyłem z Afryki do Chin, wprost do naszego rodzinnego miasta. Tu, blakając się po ulicach, spostrzegłem ciebie i poznałem od razu, kto jesteś, boś<sup>2</sup> podobny z twarzy, jak dwie krople wody, do mego brata nieboszczyka. Wykapany Mustafa! Te same oczy, ten sam nos, ten sam podbródek! Po tyloletnim pobycie w Afryce, z dala od swoich, ucieszył mnie niezmiernie widok twej twarzy, która mi przypomniła twarz mego brata nieboszczyka! Podszedłem więc do ciebie, aby ci powiedzieć, że jestem twym stryjem. Wiem, że brat mój Mustafa umarł, gdyż osobiście powiadomił mnie o swojej śmierci — we śnie, jeszcze na brzegach Afryki. Tyś mi jeden pozostał na świecie. Wprawdzie pozostała mi nadto twoja matka Maruda, wdowa po moim ukochanym bracie. Wszakże w twarzy jej nie znajdę tego podobieństwa, które znalazłem w twojej. Mimo to kocham twą matkę, ponieważ była żoną mego brata. Idź do niej i powiedz, że odwiedzę ją jutro; a tymczasem daję ci kilka dukatów, bo wiem, że jesteście w potrzebie. A więc — do jutra, mój miły Aladynie!

Roeoender na pożegnanie ucałował Aladyna w czoło, pomiędzy oczy, Aladyn zaś pokłonił mu się i pobiegł do domu, ściskając w garści dukaty, otrzymane od czarodzieja.

\*

Maruda siedziała w chałupie smutna, myśląc nad tym, jak tu i skąd dostać kawałek chleba. Sprzedała już wszystkie niemal sprzęty, i wewnątrz chałupy świeciło pustkami.

Nagle ujrzała przez okno Aladyna, który biegł wesoło, uśmiechając się i podskakując.

Po chwili Aladyn wbiegł do chałupy, stanął przed matką i, oddając jej złote dukaty, zawołał:

— Nie martw się, matko, bo mamy teraz dość pieniędzy. Starczą nam na dni kilka albo i więcej. Kupimy za nie dużo chleba, mleka, mięsa i owoców i nasycimy głód, który nam dokucza.

— Skąd masz te dukaty? — spytała Maruda.

— Dał mi je mój własny stryjasek — odpowiedział Aladyn.

— Jaki stryjasek? — spytała znowu Maruda.

— Rodzony! — zawołał Aladyn. — Rodzony stryjasek z Afryki! Bardzo miły i uczynny stryjasek. Dziś właśnie przybył z Afryki do Chin i spotkał mnie na ulicy. Poznał mnie od razu, bo jestem jak dwie krople wody podobny do mego ojca. Ucieszył się serdecznie, ucałował mnie w czoło, pomiędzy oczy, i dał mi te dukaty, które ci przyniosłem. Obiecał, że jutro odwiedzi ciebie. Z niecierpliwością będę wyczekiwał dnia jutrzejszego, ażeby znów zobaczyć mego stryjaszka.

— Opowiadanie twoje dziwi mnie bardzo! — rzekła Maruda. — Ojciec twój nie miał żadnego brata. Prócz tego nie jesteś wcale podobny z twarzy do twego ojca: on miał twarz człowieka poważnego i pracowitego, ty zaś masz twarz lenia i lekkoducha. Ponieważ jednak człowiek, którego przeżywasz stryjaszkiem, ma zamiar odwiedzić mnie jutro, więc sama na własne oczy przekonam się, co to za jeden.

Syn

<sup>1</sup>bom kochał — dziś: bo kochałem. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>boś podobny — dziś: bo jesteś podobny. [przypis edytorski]

Maruda wyszła na miasto, aby kupić chleba, mięsa i owoców za dukaty, które przyniósł Aladyn. Jedli oboje z apetytem, gdyż byli głodni. Potem, gdy noc nadeszła, położyli się spać, lecz zasnąć nie mogli — tak ich niecierpliwiło wyczekiwanie dnia jutrzejszego i odwiedzin owego człowieka, którego Aladyn nazywał stryjaszkiem, a którego Maruda nie chciała uznać za brata Mustafy.

\*

Wreszcie nastał dzień wyczekiwany.

Maruda sporządziła sute jedzenie, aby gościa uraczyć godnie. Aladyn od rana stał w drzwiach i spoglądał na drogę, by zawczasu wybiec na spotkanie stryjaszka.

Czekali oboje, czekali, aż się w końcu doczekali.

Roeoender ukazał się na zakręcie ulicy. Spostrzegł go natychmiast Aladyn, pobiegł na spotkanie i zawołał:

— Stryjaszku, stryjaszku! Chodź prędzej, bo czekamy na ciebie od rana i już nie mamy sił czekać dłużej. Matka moja aż pobladła z ciekawości, ja zaś aż poczerwieniałem z niecierpliwości.

Roeoender uśmiechnął się dobrotliwie, ucałował Aladyna w czoło i wszedł z nim razem do wnętrza chałupy.

Maruda pokłoniła się Roeoendrowi i nic nie rzekła.

Roeoender pokłonił się Marudzie i rzekł te słowa.

— Droga Marudo, żono mego brata, a moja bratowo! Zapewne Aladyn zdążył ci już powiedzieć, kto jestem, więc tym śmieiej wchodzę do twego domu, jako brat twego męża, a stryj twego syna. Wiadomość o śmierci Mustafy rozpaczą nappełniła moje serce. Bez odpoczynku i bez wytchnienia spieszyłem z Afryki do Chin w tej myśli, że zastanę go jeszcze przy życiu i zdążę się z nim pożegnać! Lecz zawiodły mnie nadzieje moje! Brat mój leży w grobie, i nigdy go już nie zobaczę! Jedynym moim życzeniem było odwiedzić to miejsce, tę ulicę, ten dom i ten pokój w domu, gdzie umarł mój ukochany Mustafa!

— Mamy jeden tylko pokój w chałupie — odrzekła Maruda — toteż mąż mój w tym właśnie pokoju jadł, pracował, spał, rozmyślał i wreszcie umarł. Nie mógł umrzeć w innym pokoju, bo innego nie mamy.

— Więc to w tym właśnie pokoju umarł mój biedny brat Mustafa! — zawołał Roeoender, załamując dłonie. — Pozwól mi, droga Marudo, obejrzeć dokładnie ten pokój, abym go mógł na zawsze przechować w pamięci.

— Owszem! — rzekła Maruda — obejrzyj ten pokój i przechowaj go w pamięci.

Roeoender z przesadną uwagą j<sup>3</sup>ął się przyglądać podłodze, ścianom i sufitowi, a potem rozplakał się głośnym, przesadnym płaczem.

— O mój bracie, mój biedny bracie! — zawodził chytry Roeoender. — Więc nic lepszego nie miałeś do roboty na tym świecie, jak właśnie umrzeć w tym samym pokoju, gdzie jadł, spał, pracował i rozmyślał! Czemużeś nie dożył przynajmniej tej chwili, gdy ja osobiście przybyłem do Chin, aby cię pożegnać! Spokojniej byś umierał, otrzymawszy ode mnie ostatni pocałunek i ostatnie uściśnienie dłoni. Jaka szkoda, żeś mnie nie widział przed śmiercią i żeś nie zdążył nasycić swych konających oczu drogim ci widokiem mych rysów! Najniezwyklejszym chyba ze wszystkich ludzi na ziemi jest ten, co umiera w Chinach, posiadając brata w Afryce!

Tak zawodził przebiegły Roeoender.

Maruda uwierzyła w szczerść łez Roeoendra i, wzruszona jego zawodzeniami, sama płakać zaczęła.

— O mój szwagrze z Afryki! — jęczała, dławiąc się od płaczu. — Nie wierzyłam dotąd, że jesteś bratem mego męża. Wszakże teraz widzę twoje łzy i ufam ci z całej duszy. Tak płakać potrafi tylko brat rodzony nad grobem rodzonego brata. Wprawdzie mąż mój za życia mówił mi kilka razy, że nie ma brata, ale zapewne rozumiał przez to, że znajdujesz się w Afryce i jesteś tak daleki, jakby cię wcale nie było. Lecz teraz nareszcie wróciłeś do Chin, do swej ojczyzny. Nie wątpię, że jesteś bratem mego męża, stryjem Aladyna i moim

Brat, Falsz, Łzy, Żaloba

<sup>3</sup>jąć (daw.) — tu: zacząć. [przypis edytorski]

szwagrem. Proszę cię, obejrzyj raz jeszcze ten pokój, w którym umarł Mustafa, abyś mógł przechować go w swojej pamięci.

Roeoender raz jeszcze obejrzał pokój i rzekł:

— Obejrzałem już ten pokój tak dokładnie, że na zawsze mi pozostaną w pamięci jego ściany i sufit, i podłoga. Widzę tu jednak stół, zastawiony sutym jadłem. Zasiądźmy tedy do stołu, bo przypuszczam, że, czekając na mnie, nie jedliście dotąd obiadu. Zanim jednak do stołu zasiądziemy, chciałbym się dowiedzieć, na jakim miejscu zwykł był siadywać za życia mój brat Mustafa?

— Mustafa — rzekła Maruda — siadywał zazwyczaj na ławie popod ścianą, ja zaś i Aladyn — po bokach stołu, na zydlach.

— W takim razie — odparł Roeoender — niech ława zostanie pusta, niech nikt z nas na niej nie siada. Wy usiądźcie, jak dawniej, po bokach stołu, ja zaś usiądę naprzeciwko ławy i będę, jedząc, na ławę co chwila spoglądał, aby mieć wrażenie, że na ławie, jak dawniej, siedzi sam Mustafa i patrzy na nas dobrymi oczyma.

Słyszając te słowa, Maruda znów się rozpląkała.

Nawet Aladyn zaczął rękawem lzy z oczu ocierać.

Wszyscy, płacząc, zasiedli do stołu.

Wówczas Roeoender rzekł do Marudy:

— Powiedz mi, moja Marudo, jakie właściwie rzemiosło uprawia Aladyn? Jest on już w tym wieku, kiedy każdy młodzieniec samodzielnie pracą na chleb zarabia.

Aladyn spuścił zawstydzone oczy, a Maruda odpowiedziała:

— O mój szwagrze! Aladyn jest leniem i nicponiem. Żadnego rzemiosła dotąd się nie nauczył. Jedynym jego zajęciem jest nieustanne wałęsanie się po mieście z ulicznikami. Może ty jednak, jako stryj rodzony potrafisz go nakłonić i zachęcić do jakiegokolwiek pracy.

Roeoender udał, że go bardzo martwi lenistwo Aladyna, i rzekł:

— Mój Aladynie! Jeżeli chcesz żyć ze mną w przyjaźni, musisz sobie obrać jakiegokolwiek zawód. Należę do ludzi dobrych, ale jednocześnie surowych. Nie znoszę uporu i nieposłuszeństwa. Jeśli szlachetna sztuka krawiecka nie odpowiada twoim upodobaniom, zostań kupcem. Sam sklep w mieście założę, napelnę go bogatym i wyborowym towarem, dam dukatów tyle, ile stan kupiecki wymaga — bylebyś tylko zajął się pracą poważną i przestał włóczyć się po mieście z ulicznikami. Kupię ci szaty wspaniałe, abyś wyglądał jak bogaty kupiec, i poznam cię z najsłynniejszymi kupcami naszej ojczyzny. Odpowiedz, czy ci się podoba mój pomysł i czy chcesz zostać kupcem?

— Stryjaszku! — zawołał uradowany Aladyn. — Zawód kupiecki od dawna był moim marzeniem. Włóczęc się z towarzyszami po mieście, przyglądałem się wystawom sklepowym i roilem<sup>4</sup>, że sam kiedyś będę właścicielem sklepu, gdzie pełno dywanów różnowzorych, jedwabi pozłocistych, adamaszków<sup>5</sup> malowanych w kwiaty i kaszmirów<sup>6</sup>, na których kwitną haftowane drzewa, stoją haftowane rumaki, a nad jedwabnym brzegiem haftowanych jezior siedzą haftowani ludzie i zarzucają w głąb jedwabnych fal długie haftowane wędki. Nie sądziłem wszakże, iż marzenie moje spełni się kiedykolwiek, bo ojciec mój był ubogim krawcem i nie mógł założyć dla mnie sklepu ani przystroić mnie w bogate szaty kupieckie. Obiecuję ci, mój stryjaszku, być pilnym i pracowitym kupcem. Pomysł twój podoba mi się tak bardzo, że będę ci posłuszny i przestanę odtąd włóczyć się po mieście z ulicznikami.

Maruda była zachwycona odpowiedzią Aladyna.

— Drogi szwagrze! — rzekła do Roeoendra. — Widzę, że pod twoim dobroczynnym wpływem Aladyn stanie się nareszcie człowiekiem pracowitym. Dobroć twoja i szczodrość raz jeszcze mnie przekonały o tym, że jesteś naprawdę stryjem Aladyna, bratem mego męża i moim szwagrem. Toteż oddaję Aladyna pod wyłączną twoją opiekę i kierownictwo.

— Aladynie! — zawołał Roeoender. — Rodzona twoja matka oddaje ciebie pod moją opiekę i kierownictwo. Odtąd będziesz mi posłuszny i będziesz spełniał wszystko, cokolwiek ci każe. Natychmiast pójdziesz razem ze mną do miasta. Sprawię ci szaty wspaniałe i mam nadzieję, że potrafisz w tych szatach zachowywać się poważnie, jak przystało prawdziwemu kupcowi.

<sup>4</sup>roile — tu: marzyć, wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>adamaszek — ozdoba tkanina, w której wzór tworzą błyszczące i matowe sploty nitek. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kaszmir — lekka, gładka tkanina z puszystej wełny kóz kaszmirskich. [przypis edytorski]

Praca

Handel

Marzenie

Sztuka

Strój

Roeoender wstał od stołu, pokłonił się Marudzie i wyszedł z chałupy razem z Aladynem.

Udali się wprost na główną ulicę miasta, gdzie były sklepy najwspanialsze i najbogatsze. Roeoender kupił dla Aladyna szaty cudowne, przetykane suto złotem i srebrem. Aladyn przywdział te szaty i, ucieszony, przeglądał się w lustrze. Roeoender zaś powiedział:

— Myślę, że już za długo przeglądasz się w lustrze. Wyjdźmy tedy ze sklepu i wyruszymy na przechadzkę po mieście, ażebyś mógł się pokazać wszystkim w swoim nowym ubraniu. Jutro albo pojutrze wynajmę dla ciebie duży i piękny sklep i zapelnę go dywanami, adamaszkami i kaszmirami. Tymczasem przechadzka po mieście zwróci na ciebie uwagę przechodniów, i staniesz się znany, jako człowiek bogaty i pięknie wystrojony.

Wyszli więc razem na miasto.

Aladyn starał się chodzić poważnie i dumnie. Co chwila przechylał się nieznacznie na strony i umyślnie zawadzał nogą o długą jedwabną szatę, ażeby zmusić ją do szelestu.

Szata szeleściła, a przechodnie z podziwem patrzyli na Aladyna i szeptali:

— Co za szata! Co za jedwab! Co za szelest!

Aladyn udawał, że nie słyszy tych szeptów, lecz coraz dumniej i staranniej szeleścił swoją szatą.

Budząc ogólny podziw i zachwyt, kroczył uroczyście po rozmaitych ulicach wraz z Roeoendrem, aż wreszcie wyszli za miasto. Roeoender bowiem prowadził Aladyna za miasto do tego miejsca, gdzie, według jego obliczeń, znajdowały się podziemia, w których była ukryta lampa cudowna. Chciał przebiegle zmusić Aladyna do wydobywania z podziemi lampy cudownej, potem odebrać mu tę lampę, a samego Aladyna zabić, aby w ten sposób uwolnić się od świadka swych czynów czarnoksiężskich i zachować w tajemnicy posiadanie lampy cudownej.

Za miastem Aladyn ujrzał mnóstwo pięknych i bujnych ogrodów.

— Stryjaszku! — zawołał. — Chciałbym zwiedzić te ogrody, bo lubię kwiaty i drzewa.

— Drogi Aladynie! — odrzekł Roeoender. — Domyśliłem się, że lubisz kwiaty i drzewa, i dlatego też zaprowadziłem cię do miejsca, gdzie są najwspanialsze ogrody. Zwiedzimy zaraz te ogrody, a gdy wrócisz do domu, opowiesz biednej Marudzie, ileś ogrodów zwiedził i jak każdy z nich wyglądał.

Weszli do pierwszego ogrodu, gdzie ptaki o purpurowych dziobach zrywały z kłombów rozmaite kwiaty, układały je w bukiety i chowały te bukiety do swoich obszernych złocistych gniazd.

W drugim ogrodzie białe i żółte motyle bawiły się w kotka i myszkę. Jeden z nich uciekał, a inne goniły go, fruując w powietrzu.

W trzecim ogrodzie rogate i nieruchawe ślimaki jeździły po alejach w małych powozikach z muszli tęczowych, zaprzężonych w sześć złotych bąków. Bąki, hucząc i bzykając, ciągnęły tęczowe powoziki, a leniwe ślimaki poganiały je swymi różkami.

Było dużo jeszcze innych wspaniałych ogrodów.

Roeoender i Aladyn szli z ogrodu do ogrodu, aż wyszli na pustą równinę.

Roeoender zatrzymał się i rzekł:

— Zatrzymamy się tutaj na chwilę i wypoczniemy. Pamiętaj jednak, Aladynie, że<sup>7</sup> powinien mi ufać na ślepo i spełniać wszystkie moje życzenia. Jestem już w wieku podeszłym, a ludzie w tym wieku mają zazwyczaj swoje dziwactwa i wybryki. Bądź więc wyrozumiały dla moich dziwactw i wybryków. Oto na przykład i teraz chce mi się uczynić rzecz tak dziwną, że widok jej może cię przerazić. Nie przerażaj się jednak tym, co zobaczysz, lecz bądź mi posłuszny, bo jestem twoim stryjem i pragnę twego szczęścia i dobra.

Roeoender surowo spojrział na Aladyna, a potem raptownie przyłożył ucho do ziemi, ażeby zbadać, w którym miejscu ukrywa się lampa cudowna. Potem wyźłobił palcem w miejscu zbadanym rowek, aby to miejsce naznaczyć. Wreszcie wstał, nazbierał chrustu i rozłożył ognisko dookoła wyźłobionego rowku.

Aladyn patrzył na to wszystko ze zdziwieniem, ale słówka nie śmiał uronić, ażeby stryja nie rozgniewać.

<sup>7</sup>żeś powinien — dziś raczej: że powinienes. [przypis edytorski]

Ogród

Zwierzęta

Ptak

Motyl

Czary, Ogień, Piorun

Roeoender wyjął hubkę i krzesiwo, wykrzesał ogień i zapalił ognisko. Gdy chrust zapłonął, Roeoender wyjął z kieszeni jakieś ziło i rzucił je do ognia. Natychmiast dym wonny buchnął z ogniska i zakłębił się w powietrzu. Wówczas Roeoender wyciągnął obydwie ręce, przymknął oczy i wyszeptał zakłęcie. Wnet kłęby wonnego dymu pod przymusem zakłęcia, zamiast płynąć w górę, opadły na ziemię i uderzyły w miejsce, które Roeoender rowkiem nazaczył. W tej chwili rozległ się piorun, ziemia w tym miejscu pękła i rozstała się, ukazując otwór szeroki, zasłonięty żelaznymi drzwiami.

Roeoender opuścił ręce i otworzył oczy.

— Drogi Aladynie! — rzekł głosem cichym, lecz stanowczym. — Ponieważ cię kocham, więc chcę ci powierzyć moją tajemnicę. Tu, w podziemiach, pod tymi drzwiami, kryją się skarby zakłete. Pragnę, abys się wzbogacił, i dlatego też przyprowadziłem cię do tego tajemniczego miejsca. Słuchaj teraz uważnie, co masz czynić, aby się do podziemi przedostać. Przede wszystkim otworzysz drzwi żelazne, zjawione w tym miejscu, gdzie ziemia się przed chwilą rozstała. Pod tymi drzwiami zobaczysz schody kamienne, w dół wiodące. Zejdiesz w dół po schodach i trafisz w głębi na drugie drzwi marmurowe. Otworzysz drzwi marmurowe i wejdiesz przez nie do ogrodu podziemnego. Za tym ogrodem znajdziesz drugi, za drugim — trzeci. Miniesz wszystkie trzy ogrody i ujrzysz wówczas za trzecim ogrodem plac niewielki, otoczony murem. W murze znajdziesz wgłębienie. W tym wgłębieniu zobaczysz lampę zapaloną. Zgasisz lampę, wylejesz z niej oliwę, wyjmiesz knot i schowasz zgaszoną lampę na piersiach pod ubraniem. Stara to i zakurzona lampa, nie ma żadnej wartości. Jestem jednak dziwakiem, i dziwactwo moje polega na chęci posiadania tej lampy. Toteż, wracając na powierzchnię ziemi, oddasz mi lampę, w chwili, gdy dostatecznie zbliżysz się do otworu. Nachyłę się nad otworem i wyciągnę ku tobie rękę, abys mógł lampę do ręki mi wsunąć. Reszta skarbów, które znajdziesz w podziemiach, należy do ciebie. W ogrodach podziemnych kwitną owoce, które wolno ci zrywać. Pamiętaj tylko, abys ani ręką, ani nogą, ani rąbkiem szaty nie dotknął murów ogrodowych. Dotknięcie takie o śmierć cię natychmiast przyprowadzi. Owiń więc mocno i ściśle swoją szatę jedwabną dookoła siebie, abys jej połą nie tknął niebezpiecznych murów. Bądź ostrożny i pamiętaj moje rady i przestrogi. Na wszelki przypadek daję ci mój pierścień złoty. Włóż go na palec. Ten pierścień uratuje cię w razie jakiegokolwiek nieszczęścia.

Roeoender zdjął z palca złoty pierścień i podał go Aladynowi. Aladyn wdział pierścień i rzekł:

— Bądź pewny, stryjasku, że zachowam ostrożność i potrafię wykonać wszystko, czego żądasz. Ciekawy jestem niezmiernie tych zaklętych podziemi. Nigdy dotąd nie byłem w podziemiach i nie widziałem ogrodów podziemnych.

— Przestań już gadać, bo nie ma czasu do stracenia! — zawołał surowo Roeoender.

Aladyn zdziwił się bardzo, że stryj do niego tak surowo przemawia i tak srogo spogląda.

Wszakże Roeoender niecierpliwił się, bo mu śpieszno było do posiadania lampy cudownej. Chciał ją odebrać Aladynowi w chwili, gdy Aladyn z powrotem wejdzie na schody, a potem drzwi żelazne nad nim zatrzasnąć i zostawić go na zawsze w podziemiach, aby tam z głodu i strachu umarł w ciemnościach. Musiał jednak stłumić swą surowość i udawać znów łagodnego i dobrotliwego stryja, bo bez pomocy Aladyna nie mógłby zdobyć lampy cudownej.

Roeoender pamiętał dobrze napis, który się zjawił na tablicy zakłetej. Zgodnie z tym napisem nikt inny, prócz Aladyna, nie mógł zejść do podziemi. Nawet samego Roeoendra czekała śmierć, gdyby się odważył spuścić w podziemne ogrody w celu zdobycia owej lampy. Poglaskał więc Aladyna po głowie i rzekł łagodnie:

— Mój drogi chłopcze! Nie dziw się, że jestem zniecierpliwiony. Chciałbym, żebyś już obładował swe kieszenie skarbami zaklętymi i wrócił na powierzchnię ziemi — zdrowy i cały, gdyż będę się bardzo niepokoił przez czas twego pobytu w podziemiach. Im prędzej tam pójdziesz, tym prędzej wrócisz. Nie marudź więc i idź natychmiast.

Aladyn podeszedł do otworu, spojrział na drzwi żelazne i zawołał:

— Stryjaszku! Te drzwi są tak duże i ciężkie, że nie zdołam ich podnieść! Sił mi nie starczy!

Pozory



— Pochyl się tylko ku drzwiom — odpowiedział Rocoender — i powiedz: To ja, Aladyn! — a zobaczysz, że drzwi same się zaraz otworzą.

Aladyn pochylił się ku drzwiom i zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi się natychmiast otworzyły, i Aladyn ujrzał schody kręte, które wiodły w dół.

Zszedł w dół po schodach i trafił na drzwi marmurowe, szczelnie zamknięte. Dotknął drzwi dłonią i znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi marmurowe wnet się rozwarły.

Aladyn ujrzał za tymi drzwiami ogród podziemny i wbiegł do ogrodu.

W ogrodzie tym rosły krępe, karłowate drzewa, pokryte mchem złotym. Na gałęziach zamiast owoców dojrzewały perły tak wielkie, jak orzechy. Perły te napełniały ogród podziemny białym, matowym światłem. W tym świetle ujrzał Aladyn mury ogrodu, porośnięte jadowitymi grzybami i pleśnią. Przypomnił sobie przestrożę stryja i owinął się starannie swoją szatą, gdyż po ogrodzie wiał wicher podziemny i rozwiewał rąbki jedwabnej szaty tak, że łatwo mogły o mur zawadzić.

Aladyn nie znał się na wartości pereł, ale podobał mu się ich kształt okrągły, więc nazrywał ich sporo i schował do kieszeni.

Podszedł potem do następnych drzwi hebanowych i zawołał:

— To ja, Aladyn!

Hebanowe drzwi otworzyły się na oścież, i Aladyn wszedł przez nie do drugiego ogrodu.

W drugim ogrodzie kwitły na drzewach szmaragdy<sup>8</sup>, turkusy<sup>9</sup>, topazy<sup>10</sup>, rubiny<sup>11</sup> i chryzolity<sup>12</sup> i napełniały ogród światłem błękitnym, żółtym, czerwonym i fioletowym. Wszystkie te światła mieszały się nawzajem, aż mżyły w oczach. Aladyn nie wiedział, że są to kamienie drogocenne, ale podobały mu się barwy tych dziwnych owoców, więc nazrywał ich pod dostatkiem i napełnił nimi kieszenie.

Zbliżył się wreszcie do następnych drzwi miedzianych. Ponieważ i te drzwi były zamknięte, więc Aladyn znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi miedziane otworzyły się, i Aladyn wszedł do ogrodu trzeciego.

W trzecim ogrodzie kwitły na drzewach same brylanty tak wielkie, jak jabłka. Kwitły i migotały i połyskiwały tak mocno, że cały ogród podziemny zdawał się płonąć. Aladyn musiał dłonią oczy od tego blasku przesłonić. Nie znał się na wartości brylantów, ale podobały mu się ich połyski i migoty, więc nazrywał ich bardzo dużo i poszedł dalej, do drzwi następnych. Drzwi te były ze szczerzego złota.

Aladyn znów zawołał:

— To ja, Aladyn!

Drzwi złote otwarły się natychmiast, i Aladyn wszedł na mały plac, otoczony murem.

Brylanty trzeciego ogrodu świeciły tak rzeźliwie, że światło ich przez drzwi otwarte przenikało aż do placu. W tym świetle brylantowem Aladyn ujrzał w murze wgłębienie, a w tym wgłębieniu lampę. Zbliżył się ostrożnie do muru, aby go szatą nie dotknąć, i szybko wyjął lampę z owego wgłębienia. Lampa płonęła słabym błękitnym płomieniem. Aladyn ją zgasił, wylał oliwę, wyrzucił knot i ukrył lampę pod ubraniem na piersi. Przebiegł szybko z powrotem wszystkie trzy ogrody podziemne i wspiął się na kręte schody.

Rocoender stał nad otworem w oczekiwaniu Aladyna. Widząc, że Aladyn wraca, zawołał:

— Oddaj mi lampę, nim wyjdiesz z podziemia.

— Stryjaszku! — odpowiedział Aladyn, wstępując coraz wyżej po schodach. — Bądź cierpliwy i czekaj, aż wyjdę z podziemi. Ukryłem lampę na piersi, pod ubraniem. Nie mogę wszakże wyjąć jej natychmiast, bo schody są kręte i muszę uważnie po nich stąpać,

Ogród, Klejnot

Klejnot

Klejnot

Klejnot

<sup>8</sup>szmaragd — kamień szlachetny o zielonej barwie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>turkus — minerał rzadki o barwie niebieskiej lub zielonej. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>topaz — półprzezroczysty minerał o błękitnej a. żółtawej barwie. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>rubin — kamień szlachetny o barwie czerwonej lub różowej. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>chryzolit — minerał rzadki, przezroczysty, zielonkawy lub żółty. [przypis edytorski]

ażeby nie upaść. Oddam ci lampę dopiero wówczas, gdy się wydostanę na powierzchnię ziemi!

— Głupi, nieposłuszny leniuchu! — wrzasnął rozgniewany Roeoender — Musisz mi oddać lampę, zanim wyjdiesz z podziemia! Jesteś już tak blisko otworu, że z łatwością możesz to uczynić!

— Stryju! — zawołał Aladyn. — Za to, że mnie przezywasz głupim i nieposłusznym leniuchem, otrzymasz lampę dopiero wtedy, gdy zupełnie wyjdę z podziemia!

Głowa Aladyna była już blisko otworu. Rozzłoszczony Roeoender zacisnął pięście, zgrzytnął zębami i, zanurzwszy nogę w otworze, kopnął Aladyna w głowę.

— Oddaj mi natychmiast lampę! — wrzasnął takim strasznym i szatańskim głosem, że z ust buchnął mu płomień i dym czarny. — Oddaj mi natychmiast lampę, albo zabiję cię na miejscu!

Aladyn chwycił się ręką za głowę i zawołał:

— Za to, żeś mnie kopnął nogą w głowę, nie oddam ci lampy!

Roeoender tak się rozzłościł, że stracił przytomność. Wolał nawet wyrzec się lampy cudownej, byleby tylko zemścić się na Aladynie. Pochylił się nad otworem i szepnął jakieś zaklęcie. Zaklęcie było gniewne i potężne, bo nagły piorun uderzył w ziemię, i natychmiast drzwi żelazne zamknęły się szczelnie. Ziemia zrosła się nad nimi, tak że nie widać było nawet śladu otworu. Nikt by się teraz nie domyślił, że w tym równym i pustym miejscu były przed chwilą drzwi żelazne, pode drzwiami zaś — schody, prowadzące do trzech podziemnych ogrodów, za którymi znajdował się plac, otoczony murem. Cicho było i samotnie na równinie. Słońce tylko świeciło, a w powietrzu wirowały roje much złotych, zielonych i niebieskich.

Roeoender przesłonił usta dłonią i tłumił ogień, który mu wciąż jeszcze buchał z ust z powodu nadmiernej złości. Potem spojrzął na ziemię zrosniętą i zrównaną i zacierał ręce z zadowolenia, że dokonał na Aladynie tak straszliwej zemsty. Był pewien, że Aladyn zginie w podziemiach z głodu i ze strachu. Postanowił nie myśleć już o zdobyciu lampy cudownej, jeno wrócić jak najprędzej do Afryki. W tym celu rozpędził się wzdłuż po równinie i zrobił taki skok w powietrze, że od razu przeskoczył z Chin na sam środek Afryki, gdzie kwitła olbrzymia palma.

Zmęczony czarodziejskim skokiem, Roeoender usiadł pod palmą, żeby wypocząć. Pod palmą znów się zaczął uśmiechać i zacierał ręce z radości, że Aladyn wkrótce umrze i nikt nawet nie będzie znał miejsca, w którym został żywcem pogrzebany.

Roeoender zapomniał w złości, że dał Aladynowi pierścień zaklęty, który go może uratować.

Tymczasem Aladyn został sam w podziemiach, na krętych schodach — bez niczyjej pomocy i bez nadziei ratunku. Gdy piorun uderzył w ziemię i drzwi żelazne zamknęły się szczelnie, na schodach zapanowała ciemność zupełna.

— Stryjaszku! — wołał złękniiony Aladyn. — Stryjaszku mój rodzony, szwagrze mojej matki, bracie mego ojca! Nie gniewaj się na mnie za mój upór i nieposłuszeństwo! Otwórz drzwi żelazne, bo zginę tu w ciemnościach!

Tak wołał biedny Aladyn — lecz nadaremnie! Nikt wołań jego nie słyszał i nikt nie przychodził mu z pomocą.

Stał na schodach bezsilny i bezradny i dygotał ze strachu. Bał się zejść w dół do ogrodów podziemnych, bo łatwo mógł pociemku zawadzić szatą o mury, a wiedział, że dotknięcie murów jest śmiertelne.

Strojny w bogate, wspaniałe szaty jedwabne, tkwił nieruchomo na krętych schodach, płacząc rzewnymi łzami wśród nieprzebitego mroku. Płacząc, przypomniał sobie, jak przechodnie na ulicach szeptały z podziwem:

— Co za szata! Co za jedwab! Co za szelest!

Wolałby teraz zamiast jedwabów nosić dawne lachmany, byleby tylko wydostać się z tych ciemności na powierzchnię ziemi.

Wyciągnął ostrożnie rękę do góry i dotknął nad sobą drzwi żelaznych. Próbował je otworzyć, ale nie mógł. Zawołał więc po dawnemu:

— To ja, Aladyn.

I znowu powtórzył głosem drżącym i rozplakany:

— To ja, Aladyn.

Gniew

Drzwi się jednak nie rozwarły, bo zakłęcie Roeoendra zamknęło je zbyt mocno, a ziemia, nad nimi zrosnięta, przywaliła je swoim ciężarem.

Zrozpaczony Aladyn złożył dłonie do modlitwy i szepnął:

— Rodzony stryj mnie opuścił, więc ty, Boże, przyjdź mi z pomocą.

Stało się to, co się stało: składając dłonie do modlitwy, Aladyn potarł bezwiednie pierścień zaklęty, który miał na palcu. I zdarzyło się to, co się zdarzyło: od tego bezwiednego potarcia zjawił się przed oczami Aladyna duch złoty, w pierścieniu dotąd ukryty. Zjawił się nagle w ciemnościach podziemnych, na schodach krętych, i rzekł głosem donośnym:

— Oto jestem na twoje rozkazy i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają pierścień zaklęty.

— Złóć się, złóć się, duchu złoty! — zawołał Aladyn. — Złóć się i rozjaśnij tę ciemność, która mnie otacza. Stryj rodzony zamknął nade mną drzwi żelazne i zostawił mnie samego w podziemiach bez wyjścia!

— Czego żądasz ode mnie? — spytał duch złoty. — Jesteś posiadaczem pierścienia zaklętego, więc rozkazuj, a każdy twój rozkaz spełnię natychmiast.

— Duchu złoty! — zawołał Aladyn. — Rozkazuję ci, abyś mnie wyniósł z tych ciemności na powierzchnię ziemi!

Ledwo Aladyn tych słów domówił — a duch złoty, zazłociwszy się jaskrawiej, uniósł go z mrocznych podziemi, postawił na równinie — i zniknął.

Aladyn nawet nie zdążył zauważyć, kiedy i jakim sposobem znalazł się na równinie, na powierzchni ziemi, oświetlonej słońcem. Zobaczył przed sobą resztki dogasającego ogniska, które Roeoender rozniecił dla swych czarnoksiężskich zamiarów. Począł szukać otworu za ukrytymi w głębi drzwiami żelaznymi. Wszakże nie znalazł ani otworu, ani drzwi żelaznych, ani nawet rowka, który Roeoender palcem wyłóbił, aby naznaczyć miejsce, gdzie się podziemia znajdują.

Ponieważ słońce świeciło tak samo, jak wówczas, kiedy Aladyn schodził do podziemi, więc wydało się Aladynowi, że przebył w podziemiach zaledwo chwil kilka. Mylił się jednak, bo przebył tam całe dwa dni i wyszedł dopiero na trzeci dzień w samo południe.

Głód go osłabił tak, że Aladyn chwiał się na nogach. Poszedł więc chwiejnym krokiem do domu.

Maruda siedziała w progu chałupy, wyczekując powrotu swego syna. Błada była i niepokojna. Dwa dni już nadaremnie czekała na Aladyna. Nadszedł dzień trzeci, a syn wciąż jeszcze nie wracał. Zbliżyło się właśnie południe. Nagle Maruda ujrzała na zakręcie ulicy powracającego Aladyna.

— Synu mój! — zawołała. — Co się działo z tobą? Idziesz krokiem chwiejnym i jesteś błądy, jak chusta!

Aladyn podszedł do matki i rzekł słabym głosem:

— Jeść daj mi! Po jedzeniu opowiem ci wszystko. Teraz sił nie mam.

Weszli razem do chałupy.

Aladyn bezsilnie osunął się na ławę i plecami oparł się o ścianę. Maruda podała mu jedzenie sute i smakowite. Aladyn jadł całą godzinę, aż mu się szczęki zmęczyły od ciągłego ruchu i żucia.

— Posiliłem się i mogę teraz mówić — rzekł wreszcie do matki. — Nie rozumiem tylko, dlaczego jestem taki głodny. Wyszedłem z domu najwyżej trzy godziny temu i w ciągu trzech godzin nabrałem tak nadmiernego apetytu!

— Co mówisz, Aladynie! — zawołała Maruda. — Zmysły ci się chyba pomieszały! Wyszedłeś z domu dwa dni temu, a wróciłeś dopiero na trzeci dzień w południe!

— W takim razie straciłem rachubę czasu! — odpowiedział Aladyn. — Nie dziwi mnie to jednak wcale. Trudno bowiem rachować czas w mrocznych podziemiach, gdy się ma nad głową drzwi żelazne, na głucho zamknięte, pod nogami schody, pod schodami trzy podziemne ogrody, a za trzema ogrodami plac pusty, otoczony murem, którego dotknięcie jest śmiertelne. Gdyby nie duch złoty, ukryty w pierścieniu zaklętym, zginąłbym na pewno i nigdy bym nie ujrzał powierzchni ziemi.

— Aladynie! — zawołała przerażona Maruda. — Pleciesz trzy po trzy! Wymawiasz słowa bez związku, bez sensu i bez treści! Mroczne podziemia — drzwi żelazne — trzy ogrody podziemne — mur, którego dotknięcie jest śmiertelne — duch złoty, ukryty

w pierścieniu zaklętym!... Co to wszystko znaczy? Boję się, żeś zwariował! Miałam dawniej syna — leniucha, a dziś mam syna — wariata!

— Uspokój się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Gdy wysłuchasz od początku do końca mego opowiadania, przekonasz się, że nie jestem wariatem.

I Aladyn opowiedział Marudzie wszystko, co mu się zdarzyło.

Zdziwiła się Maruda niezmiernie i rzekła:

— Widzę teraz, że ów nieznamy, który ci szaty jedwabne kupił, nie jest ani twoim stryjem, ani moim szwagrem, ani bratem mego męża Mustafy. Jest to niegodziwy czarnoksiężnik, rodzony syn jakiejś wiedźmy, brat diabła, stryj potwornych karzełek, a szwagier samej śmierci, która, pobrzękując kosą, chodzi w nocy po cmentarzach. Chciał on cię zamordować, aby posilić się twoją krwią, bo czarnoksiężnicy lubią spijać krew młodych chłopców. Dzięki Bogu, żeś uszedł jego rąk! Masz naukę, abys odtąd nie dowierzał żadnym przechodniom, którzy się każą nazywać stryjami i kupują szaty jedwabne, aby pozyskać twoje zaufanie.

Ponieważ Maruda miała jeszcze kilka dukatów, które Roeoender dał Aladynowi, więc przez dni kilka żyła spokojnie w swej chałupie, kupując codziennie mięso, chleb i mleko. Wkrótce jednak wydała wszystkie dukaty, i znów nędza zajrzała do chałupy.

Długo przemyślał Aladyn nad tym, skąd tu dostać pieniędzy. W chałupie nic już nie było do sprzedania, prócz owej lampy, którą Aladyn przyniósł z podziemi. Ponieważ lampa była brudna i zakurzona, Maruda postawiła ją w kuchni na oknie i zapomniała o niej. Wprawdzie Aladyn, prócz lampy, miał jeszcze drogocenne owoce, zerwane z drzew, kwitnących w ogrodach podziemnych. Jednak ani Maruda, ani Aladyn nie znali się na wartości tych owoców i nie domyślali się nawet, że posiadają w chałupie bogactwa niezliczone. Zdawało się im, że są to zwyczajne kolorowe szkiełka, i bawiły ich rozmaite barwy i połyski tych szkiełek. Maruda ułożyła w kącie kuchni cały stos pereł, rubinów, topazów, turkusów, szmaragdów, szafirów, chryzolitów i brylantów, nakryła je wielką płachtą i nie zwracała na nie żadnej uwagi.

I teraz, gdy zabrakło środków istnienia, ani Maruda, ani Aladyn nie wpadli na pomysł skorzystania z tych skarbów, które leżały w kącie kuchni, pod płachtą. Szaty jedwabne Aladyna Maruda kilka dni temu wyrzuciła na śmietnik, mówiąc, że są darem złego czarnoksiężnika i mogą nieszczęście ściągnąć na nią i na Aladyna. Nie mieli więc teraz nic do sprzedania.

Długo też myślał Aladyn nad tym, co by tu sprzedać, aż wreszcie po długim namyśle przypomniał sobie lampę.

— Matko! — zawołał radośnie Aladyn. — Gdzieś podziła lampę, którą znalazłem w podziemiach?

— Postawiłam ją w kuchni na oknie — odpowiedziała Maruda.

— Daj mi ją, bo jest to jedyny przedmiot, który mamy do sprzedania. Pójdę zaraz na targ, sprzedam lampę i za otrzymane pieniądze kupię chleba.

— Masz słusność — odparła Maruda. — Sprzedamy lampę. Stary to grat i zbyteczny. Mam w chałupie inną, daleko ładniejszą, niż ta, którą przyniosłeś. Ponieważ jednak jest brudna i zakurzona, więc oczyszczę ją należycie, aby błyszcząca, jak nowa.

Maruda pobiegła do kuchni, przyniosła lampę i potarła ją mocno ścierką, ażeby oczyścić. Wówczas stało się to, co się stało, i zdarzyło się to, co się zdarzyło. Pod wpływem tarcia zjawił się nagle w chałupie duch błękitny, w lampie dotąd ukryty. Cała chałupa zbłękitniała, i pobłękitniało w oczach Aladynowi i Marudzie.

Duch zaś błękitny zawołał głosem potężnym i dźwięcznym:

— Oto jestem na rozkazy wasze i tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

Nagle zjawienie się ducha i jego głos potężny tak przeraziły Marudę, że kolana pod nią się zachwiały.

— Panie Duchu, oszczędź mnie! — jęknęła słabym głosem i upadła na ziemię zemdlna.

Aladyn już po raz drugi w życiu oglądał ducha, więc nie stracił głowy i potrafił się zachować odpowiednio. Spojrzał śmiało na ducha i rzekł:

— Błękitnij mi się w oczach, błękitnij, duchu błękitny! Pusto było i szaro w mojej chałupie, dopóki tyś jej nie rozwidnił swoim światłem cudownym. Teraz jest w niej tak błękitno, jak w niebie. Toteż wierzę, iż w takiej chałupie cuda zdarzyć się mogą. Nędza

grozi mnie i mojej matce. Głód nam dokucza, głód nam doskwiera, głód nam dopieka. Rozkazuję ci, duchu błękitny, abys nam przyniósł jadła i napoju!

Ledwo Aladyn słów tych domówił — a duch błękitny zniknął i wrócił natychmiast, niosąc stół olbrzymi, zastawiony srebrnymi talerzami i półmichami, pełnymi po brzegi rozmaitych potraw. Na środku stołu stał szereg butelek z winem, a obok — kielichy i puchary.

Błękitny duch postawił stół na środku chałupy — i zniknął.

Wszystko stało się w ciągu jednej chwili, tak że Aladyn nie miał nawet czasu ocucić swej zemdlonej matki.

Maruda jednak sama odzyskała przytomność. Leżąc wciąż na podłodze, poruszyła najpierw ręką, potem nogą, aż wreszcie wstała i drżącym głosem szepnęła:

— Aladynie! Czy już nie ma w naszej chałupie tego błękitnego jegomości, który nie miał nic pilniejszego do roboty, jak na stałe zamieszkać w zakurzonej lampie, aby zjawiać się pod wpływem tarcia i straszyć biednych, ubogich ludzi?

— Nie ma go już w chałupie — odpowiedział Aladyn. — Nie rozumiem wszakże, czemu się tak zlekciaś i zemdląłeś? Sprawił to zapewne brak obycia się z duchami. Nie jesteś widocznie przyzwyczajona do cudów i dziwów. Ja nabrałem już wprawy i przyzwyczajenia. Niepotrzebnie przeraziłaś się błękitnego ducha. Jest on potężny, a jednocześnie dobry i łagodny. Spełnia posłusznie rozkazy tych, którzy posiadają lampę cudowną. Spójrz tylko na ten stół, zastawiony jedzeniem, a zrozumiesz, że duch błękitny jest naszym przyjacielem.

Maruda spojrzała na stół, szeroko rozwarła zdziwione oczy i zawołała:

— A toć najlepszy nawet kucharz nie zdążyłby w taką odrobinę czasu przygotować tyle jedzenia! Masz słusność, że ów błękitny jegomość z zakurzonej lampy jest naszym przyjacielem. Wszakże biedne moje oczy nie znoszą widoku tak potężnych duchów, a biedne myśli moje mącą się od nagłego oglądania niepojętych cudów. Wierzę w duchy i w cuda, ale nie wierzę we własne siły. Czuję, że będę zawsze mdląła na widok ducha. Toteż, o ile będziesz chciał ducha z lampy wywołać, uprzedź mnie o tym zawczasu, abym zdążyła wyjść z chałupy. Powrócę zaś dopiero wówczas, gdy już duch zniknie, a w chałupie zostanie tylko stół, zastawiony srebrnymi talerzami i półmichami.

— Dobrze — odpowiedział Aladyn — uprzedzę cię zawczasu o zjawieniu się ducha. A tymczasem jedzmy i pijmy, bo mamy pod dostatkiem jedzenia i picia.

Zasiedli więc oboje do zakłętego stołu i zjadali coraz inną potrawę, przepijając coraz innym winem.

Potraw i win było tak dużo, że starczyło na dni kilka.

Gdy Maruda i Aladyn zjedli już wszystkie potrawy i wypili wszystkie wina, Aladyn sprzedał na targu srebrne talerze i półmichy. Dostał za nie tyle dukatów, że ledwo je mógł udźwignąć i przynieść do domu.

Odtąd Aladyn niemal co tydzień pocierał lampę i rozkazywał zjawionemu duchowi, aby przynosił jedzenie na srebrnych talerzach i półmichach. Sprzedawał potem na targu srebrne naczynia i napełniał dukatami kieszenie.

W dostatkach przeżyli Aladyn i Maruda lat pięć w swojej chałupie.

Aladyn był już dwudziestoletnim młodzieńcem.

Pewnego razu wrócił do domu, tańcząc i klaszcząc w dłonie.

— Matko, matko! — zawołał, nie patrząc nawet na Marudę. — Siedzisz wiecznie w swojej chałupie i nie wiesz o tym, o czym ja wiem w tej chwili!

— Co się stało? — spytała zdziwiona Maruda, przyglądając się uważnie Aladynowi. — Może znów spotkałeś czarodzieja, który się podaje za twego stryja i obiecuje ci kupić szaty jedwabne, ażeby potem znów cię zwabić do ogrodów podziemnych i drzwi żelazne zatrasnąć nad twoją łatwowierną i lekkomyślną głową?

— Nie, nie! — wołał Aladyn, tańcząc po chałupie i klaszcząc w dłonie. — Nie spotkałem czarodzieja, i nikt mnie nie zwabił do ogrodów podziemnych i nie zatrasnął drzwi żelaznych nad moją łatwowierną i lekkomyślną głową! Stało się to, co się stało! Zdarzyło się to, co się zdarzyło! Powiedział mi strażnik miejski, że jutro, skoro świt, piękna księżniczka Badrullbudura, córka naszego sułtana, przejdzie pieszo przez całe miasto aż do rzeki, żeby w lustrze rzeki przejrzeć swą twarz cudowną. Nikomu nie wolno iść po

tych ulicach, po których ma kroczyć księżniczka Badrulbudura! Nikomu nie wolno spojrzeć na nią, aby nie obrazić wzrokiem jej pięknej księżęcej twarzy. Taki bowiem rozkaz wydał dzisiaj sam sułtan. Ulice będą puste, a cała ludność zamknie się w swych domach i grubymi kotarami zasłoni wszystkie okna. Ulice będą puste i bezludne, a księżniczka pieszo przejdzie przez te ulice aż do samej rzeki. Nad rzeką pochyli się i ujrzy swą cudowną twarz, odbitą w wodzie. Matko moja, matko! Cała ludność jest posłuszna rozkazowi sułtana — ja tylko jeden nie będę mu posłuszny. Nad rzeką rośnie gęsta trzcina. Skoro świt, pobiegnę nad rzekę i ukryję się w trzcinie. Ukryty w trzcinie, będę patrzył na brzeg tak długo, aż wreszcie zobaczę księżniczkę Badrulbudurę, gdy się pochyli nad rzeką, aby przyjrzeć się swej twarzy, odbitej w wodzie.

— Aladynie! — zawołała Maruda. — Zawsze byłeś nieposłuszny i dotąd nie pozbyłeś się tej wady. Pamiętaj, że rozkaz sułtana jest święty i że nie wolno postępować wbrew rozkazowi.

— Pamiętam. pamiętam! — wołał, tańcząc Aladyn. — Pamiętam dobrze rozkaz sułtana. Jednak zawsze byłem i jestem i będę nieposłuszny. Zrobię to, com<sup>13</sup> postanowił, i nie odmienię swego postanowienia!

Nazajutrz, skoro świt, kiedy Maruda jeszcze spała, Aladyn wymknął się z chałupy i pobiegł na brzeg rzeki.

Ulice były puste, wszystkie okna zasłonięte grubymi kotarami. Nikt więc nie widział Aladyna, biegnącego przez ulice. Godzina była tak wczesna, że księżniczka Badrulbudura nie zdążyła się jeszcze ubrać i wyjść z pałacu.

Słońce zaledwo schodziło<sup>14</sup>. Pierwsze jego promienie połyskiwały na dachach domów i na wierzchołkach drzew. Chłód poranny wiał po ulicach. Wróble dopiero budziły się w gniazdach i ćwierkały po jednym, po dwa, po trzy, czasem tylko wrzeszcząc całym chórem.

Aladyn biegł tak szybko, że wkrótce stanął nad brzegiem rzeki. Trzcina nad rzeką rosła tak gęsta i wysoka, że łatwo było ukryć się w niej jak w lesie. Aladyn natychmiast ukrył się w trzcinie, tak że, nie będąc widziany, sam mógł widzieć wszystko, co się na brzegu dzieje.

Zimno mu było w trzcinie, bo chłód wiał od wody, a woda dochodziła mu aż do kolan. Zmoczony i zziębnięty, czekał radośnie na przyjście księżniczki. Nigdy bowiem dotąd żadnej księżniczki nie widział. Słyszał tylko, że księżniczki mieszkają w pałacach, noszą szaty złociste i mają twarze piękne.

Czekał dość długo i co chwila z lekka rozchyłał trzcinę, ażeby zobaczyć, czy księżniczka już stoi na brzegu.

Nareszcie posłyszał z dala szelest szaty jedwabnej.

Serce mu zabiło mocniej, zatamował dech i rozchylił trzcinę.

Zobaczył rzeczywiście księżniczkę Badrulbudurę. Szła sama, w białej jedwabnej sukni, w białych pantofelkach i w białym welonie na twarzy. Taki był bowiem zwyczaj w tej krainie, że wszystkie kobiety nosiły na twarzy białą zasłonę.

Księżniczka zbliżała się do rzeki powoli, kołysząc się, jak łabędź biała. Stanęła wreszcie na brzegu.

— Teraz podniesie zasłonę — pomyślał Aladyn — i zobaczę twarz księżniczki.

Księżniczka podniosła zasłonę.

Aladyn ujrzał jej twarz tak białą i cudowną, jakiej nigdy jeszcze nie widział.

— Teraz pochyli się nad rzeką i zobaczy w wodzie swe własne odbicie — pomyślał znowu Aladyn, szerzej rozchylając trzcinę.

Księżniczka pochyliła się nad rzeką. Na fali natychmiast zjawilo się jej białe cudowne odbicie. Wiatr z lekka poruszał falę, i białe cudowne odbicie księżniczki z lekka za wiatrem kołysało się na błękitnej fali.

Księżniczka Badrulbudura, zachwycona i oczarowana, przyglądała się własnemu odbiciu i tak była zajęta dokładnym rozpatrywaniem cudownego odbicia, że nie zauważyła Aladyna, który całą głowę, a za głowę szyję z trzciny wysunął, żeby też przyjrzeć się odbiciu księżniczki na wodzie.

<sup>13</sup>com postanowił — dziś raczej: co postanowiłem. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>schodzić — tu: wschodzić. [przypis edytorski]

Białe odbicie kołysało się zlekka na fali, a księżniczka i Aladyn przyglądali mu się pilnie i uważnie.

Czasem fala zakolysała się mocniej i szarpnęła białym odbiciem tak, że zdawało się Aladynowi, iż odbicie rozrywa się na dwoje i na troje. Lecz fala znów się wygładzała, i białe odbicie jednocześnie wygładzało się na jej powierzchni.

Długo, bardzo długo przyglądała się księżniczka swemu odbiciu. Widziała je bowiem po raz pierwszy, gdyż dotąd nie wychodziła z pałacu tak daleko. Spacerowała tylko po ogrodach pałacowych, gdzie nie było ani rzek, ani strumieni, ani jezior, ani sadzawek, bo sułtan był nieustannie chory na katar i nie znosił wilgoci.

Wreszcie księżniczka dowoli widać napatrzyła się swego odbicia na fali, bo zasłoniła nagle twarz białym welonem i udała się z powrotem do pałacu.

Aladyn ukrył się znowu w trzciny i siedział tam cierpliwie, dopóki nie usłyszał z dala, że puste i bezлюдne ulice napełniają się gwarem i zgiewkiem. Znaczyło to, że księżniczka już wróciła do pałacu i ludność miasta z wolna wychodzi z domów, odsłaniając okna, zawieszane ciężkimi kotarami.

Wówczas Aladyn wynurzył się z trzciny, wyskoczył na brzeg i pobiegł do domu.

Biegł tymi samymi ulicami, którymi przed chwilą wędrowała księżniczka. Przechodnie już się tłoczyli tłumnie na chodnikach. Z tych i owych okien zszarpywano jeszcze ciężkie kotary, których dotąd nie zdążono odsłonić.

Aladyn zmokły po kolana, ze źdźbłami trzciny we włosach, biegł wesoło, dumny z tego, że ze wszystkich przechodniów, zgiewkliwie tłoczących się po ulicy, jemu tylko jednemu udało się na oczy własne ujrzeć księżniczkę.

Maruda od dawna się już zbudziła i, nie widząc w chałupie Aladyna, domyśliła się, że pobiegł nad rzekę. Bała się, że go postrzegą, ukrytego w trzciny, i słusznie ukarają za przekroczenie rozkazu sułtana.

Właśnie w tej chwili Aladyn zdyszany biegiem wpadł do chałupy. Zaczął śmiać się i tańczyć i klaskać w dłonie.

— Matko moja, matko! — wołał, płasząc dookoła stołu. — Widziałem księżniczkę Badrulbudurę i jej białe odbicie na błękitnej fali! Nie chcę innej żony, prócz księżniczki Badrulbudury! Nikt nie potrafi tak lekko, jak ona, stąpać po ziemi! Nikt nie potrafi tak cudownie odbijać się w fali! Nikt nie potrafi tak długo i uważnie przyglądać się własnemu odbiciu! Matko moja, matko! Idź natychmiast do pałacu, padnij na twarz przed jego tronem i proś go w moim imieniu o rękę księżniczki Badrulbudury!

— Czyś oszalał?! — zawołała Maruda. — Co za zuchwałe myśli opętały ci głowę? Jakżeż ja mogę prosić sułtana o rękę księżniczki dla takiego, jak ty, nicponia? Od dwóch dni płaszysz i tańczysz po chałupie, zamiast iść na targ i posprzedawać nowe talerze i półmichy, które nam łaskawie przyniósł jegomość błękitny, mieszkający w zakurzonej lampie. Od nieustannych płasów i tańców dostałeś widać zawrotu głowy i gadasz od rzeczy. Przestań tańczyć, usiądź na ławie i zastanów się rozsądnie nad tym, coś mi powiedział.

Aladyn przestał tańczyć, usiadł na ławie i, głośno dysząc od zmęczenia, rzekł:

— Siedzę na ławie, nie mam zawrotu głowy, ani mi się rozum nie pomieszał. Potwarzam ci raz jeszcze, matko moja: musisz stanąć przed sułtanem i prosić go w moim imieniu o rękę księżniczki Badrulbudury!

— Nie jestem tak zuchwałą, jak ty, mój synu! — odparła Maruda. — Usta by mi się nie poruszyły, aby taką prośbę przed sułtanem wybelkotać! Umarłabym pierwiej ze strachu i ze wstydu, niżbym ośmieliła się sułtanowi głupie twoje życzenie wyjawić! A toć zapomniałeś w tańcu o tym, że jesteś synem ubogiego krawca Mustafy! Któraż by to księżniczka wyszła za mąż za syna krawieckiego? Bogactwem i przepychem też jej nie zwabisz, bo jesteś ubogi i mieszkasz w chałupie. Te dukaty, które miewamy ze sprzedaży srebrnych talerzy i półmichów, są dla nas skarbem niezliczonym — ale dla księżniczki nie starczyłyby nawet na kupno podeszwy do trzewika! Gdybym przed sułtanem powtórzyła twoją prośbę, naraziłabym się na śmiech albo na karę! Prócz tego nie wiesz zapewne o tym, że przed sułtanem nie można stanąć bez darów odpowiednich. Kto prosi sułtana o rękę jego jedynej córki, ten wedle zwyczajów powinien mu złożyć dary bogate. Skąd i gdzie i jak zdobędziesz te dary?

— Matko moja, matko! — zawołał Aladyn. — Los mi widać sprzyja, bo mam nawet dary dla sułtana! W kuchni naszej, w kącie pod płachtą leżą skarby, które sułtanowi

Pozycja społeczna, Miłość

w darze ode mnie zaniesiesz.

— Co? — krzyknęła gniewnie Maruda. — Chcesz, abym zaniosiła sułtanowi te kolorowe szkiełka bez żadnej wartości? Sułtan każe mnie za to obić różgami albo powiesić na pałapie mojej własnej izby!

— Nie bój się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Nie są to szkiełka kolorowe, jeno prawdziwe i cenne perły, topazy, szmaragdy, chryzolity, turkusy, szafiry, rubiny i brylanty. Poznałem w ostatnich czasach kilku złotników i jubilerów, którzy mnie nauczyli oceniać wartość tych cudownych kamieni.

— Kocham cię, mój synu, więc w końcu ustąpiłabym twoim naleganiom i poszłabym do pałacu, aby dogodzić twym życzeniom szalonym. Naraziłabym się dla ciebie nawet na pośmiewisko lub na różgi. Nie mogę jednak uczynić zadość twej prośbie, bo przecież nie wpuszczono by mnie do pałacu! Pod złotą bramą pałacu stoją na czatach rycerze i wpuszczają tylko książąt i dworzan. Gdybym, ja uboga i stara wdowa po krawcu, zbliżyła się do złotej bramy, rycerze zastąpiliby mi drogę lub odepchnęliby mnie gniewnie, jak natrętą żebraczkę!

— Mylisz się, matko! — odpowiedział Aladyn. — Zapomniałeś o tym, że co tydzień w poniedziałki sułtan przyjmuje w pałacu swoich poddanych. Wszystkim wówczas wolno wejść do pałacu: i bogatym, i ubogim, i młodym, i starym, i kupcom, i szewcom, i wdowom po rycerzach, i wdowom po krawcach. Sułtan daje posłuch wszelkim prośbom i sporom. Roztrząsa spory zacięte i rozsądza sprawy zawile. Niema człowieka w całym państwie, który by w poniedziałek nie znalazł przyjęcia na dworze. Przyjęcie to nazywa się Dywanem. Jutro właśnie mamy poniedziałek, to znaczy: dzień Dywanu. Możesz więc śmiało stanąć przed obliczem sułtana i prosić go w moim imieniu o rękę jego córki.

Maruda wzruszyła ramionami i rzekła:

— Słuchaneż to rzeczy, aby syn krawca posyłał matkę w swaty do sułtana? Jestem jednak matką i niczego nie mogę odmówić swemu synowi. Co będzie, to będzie. Co się stanie, to się stanie. Co się zdarzy, to się zdarzy. Pójdę jutro do sułtana i powtórzę mu dosłownie twoją prośbę. Muszę to zrobić, bo widzę, że jesteś szalony i że mógłbyś sobie nawet życie odebrać, gdybym nie spełniła twojej prośby.

— Zgadłaś, matko! — rzekł Aladyn. — Postanowiłem w duszy albo dostać za żonę księżniczkę Badrulbudurę, albo życie sobie odebrać.

Maruda znów wzruszyła ramionami, podreptała do kuchni, uszyła worek, wygarnęła spod płachty wszystkie kamienie drogocenne, wsypała je do worka i znów wzruszyła ramionami.

Noc nadeszła. Położył się spać Aladyn. Położyła się spać Maruda. Aladyn długo zasnąć nie mógł i widział, jak Maruda przez sen wciąż wzrusza ramionami.

\*

Nazajutrz, w poniedziałek, w dzień Dywanu, Maruda zarzuciła na plecy worek, mocno klejnotami upchany, i podybała<sup>15</sup> wprost do pałacu. Idąc po ulicy, wciąż wzruszała ramionami. Przechodnie, patrząc na nią, mówili:

— I inni ludzie mają ramiona, a nie wzruszają nimi tak, jak ta kobieta z workiem na plecach.

Im dalej szła Maruda, tym szybciej wzruszała ramionami. Dopiero wówczas, gdy się zbliżyła do pałacu i ujrzała złotą bramę, przestała ramionami wzruszać.

Lęk zdjął ją na myśl, że za chwilę stanie przed obliczem samego sułtana i bojaźliwymi ustami powtórzy słowa Aladyna.

Tłum ludzi tłoczył się już koło bramy. Rycerze wskazywali drogę, i tłum wchodził przez bramę na marmurowe schody, prowadzące do sali, gdzie się Dywan odbywał.

Maruda poszła w ślad za tłumem, wstąpiła na marmurowe schody i przedostała się do olbrzymiej sali.

Sułtan siedział na tronie, a pod ścianami stali szeregiem rozmaici ludzie, którzy tu przyszli, aby sułtanowi prosiły swoje i sprawy przedstawić. Każdy po kolei podchodził da

<sup>15</sup>podybać — tu: pójść. [przypis edytorski]



tronu, padał na twarz przed sułanem, potem wstawał, wygłaszał swoją prośbę i, otrzymawszy od sułtana odpowiedź, usuwał się znów pod ścianę.

— Com ja, nieszczęśliwa, uczyniła? — myślała tymczasem Maruda. — Jakże mogłam odważyć się na kłopotanie sułtana tak zuchwałą pośbą! Sułtan ma tyle spraw poważnych! Toć zemdleję pierwej, nim zdołam wykszusić prośbę mego syna — nicponia!

I Maruda znów zaczęła wzruszać ramionami.

Tymczasem wszyscy obecni już zdążyli sprawy swoje sułtanowi przedstawić. Sułtan opuścił tron i wyszedł z sali.

Dywan był skończony. Jedna tylko Maruda nie zdążyła podejść do sułtana. Stała wciąż pod ścianą z workiem na plecach i nieustannie wzruszała ramionami.

Wielki wezyr, który siedział w czasie Dywanu obok tronu sułtana, dał obecnym znak ręką, aby opuścili salę. Tłum poruszył się i skierował z powrotem na marmurowe schody. Maruda poszła w ślad za tłumem i wkrótce znalazła się znowu na ulicy.

Aladyn niecierpliwie wyczekiwał powrotu matki.

Zdziwił się bardzo, gdy zobaczył, że wraca z workiem na plecach.

— Czemu wracasz z workiem na plecach? — zapytał.

— Wolę wracać z workiem, niż z pręgami od różg na plecach! — odpowiedziała Maruda.

— Czy sułtan odmówił mojej prośbie? — zapytał znowu Aladyn.

— Nie odmówił, bo nic nie mówił.

— A dlaczego nic nie mówił?

— Bo go o nic nie pytałam.

— A dlaczego o nic go nie pytałaś?

— Bo był zajęty rozmową z innymi ludźmi.

Aladyn ręce załamał.

— Matko moja, matko! — zawołał. — Widzę, że chcesz, abym sobie życie odebrał! Co żeś robiła w pałacu, żeś nie miała chwili wolnej, aby z sułtanem pogadać?

— Stałam pod ścianą, wzruszałam ramionami i gadałam w duchu sama z sobą — odrzekła Maruda.

— Czyś po to poszła do pałacu, abyś sama z sobą gadała? Czemuś nie zbliżyła się do tronu? Czemuś marudziła pod ścianą?

— Marudziłam pod ścianą, bo mi pod ścianą stanąć kazano — rzekła Maruda. — Gdyby mnie postawiono na środku pokoju, to bym pewnikiem na środku pokoju marudziła. Nie smuć się jednak, bo w przyszły poniedziałek znów jest dzień Dywanu, więc pójdę do pałacu i prośbę twoją przed sułtanem powtórzę.

\*

Aladyn z niecierpliwością wyczekiwał następnego poniedziałku.

Nadszedł poniedziałek. Maruda z workiem na plecach podybała znów do pałacu.

Wkroczyła do sali, stanęła popod ścianą, wzruszała ramionami i gadała w duchu sama z sobą o tym, że prośba Aladyna jest zbyt zuchwała, a sułtan jest zbyt zajęty poważniejszymi sprawami.

Dywan się skończył. Tłum wyszedł z sali, a za tłumem wyszła Maruda. Wróciła do chałupy i rzekła do zmartwionego Aladyna:

— I tym razem nie udało mi się z sułtanem pogadać. Lecz nie martw się i bądź dobrej myśli. Co się odwlecze, to nie uciecze. Czynь wszystko powoli, jeno według woli. Co nagle, to po diable. W następnym poniedziałek znów jest dzień Dywanu. Pójdę więc do pałacu i porozmawiam z sułtanem.

Odtąd co tydzień, w poniedziałek, z workiem na plecach wzruszając ramionami, dybała Maruda do pałacu. Stawała w sali pod ścianą i stała tak do końca Dywanu. Potem wychodziła w ślad za tłumem, nie zdążywszy wygłosić przed sułtanem prośby Aladyna.

Tak się przyzwyczaiła co tydzień bywać w pałacu, że te wizyty poniedziałkowe stały się jej nałogiem. Z niecierpliwością wyczekiwała każdego poniedziałku i mówiła zazwyczaj:

— Kiedyż nareszcie nadejdzie ten poniedziałek? Już tak dawno nie byłam w pałacu, że aż mi tęskno i markotno.

— Nie bój się! — odpowiadał Aladyn. — Poniedziałek się nie opóźni, przyjdzie zawsze po niedzieli. Bylebyś ty się tym razem znów nie opóźniła z wygłoszeniem mojej prośby!

Sułtan wreszcie zauważył Marudę, która niezmiennie, co poniedziałek, wystawała pod ścianą, wrzuszając ramionami. Przyzwyczał się nawet do widoku jej twarzy i do widoku worka na jej plecach.

Pewnego poniedziałku rzekł do wielkiego Wezyra:

— Od dawna już zauważyłem tę starą ubogą kobietę, która co poniedziałek stoi pod ścianą z workiem na plecach. Pewno ma do mnie jakąś prośbę, ale brak jej śmiałości, aby podejść do tronu i prośbę ową przedstawić. Co poniedziałek wychodzi z sali w ślad za tłumem, aby w następnym poniedziałek znów się zjawić pod ścianą z workiem na plecach. Wrzusza przy tym nieustannie ramionami. Otóż tym razem, mój kochany wezyrze, gdy tłum pocznie z sali wychodzić, zatrzymaj tę starowinę i staw ją przed moje oblicze, abym mógł ją zapytać, co jej dolega?

Gdy tłum począł z sali wychodzić, a Maruda chciała już w ślad za tłumem wyruszyć, wielki Wezyr osobiście podbiegł do Marudy, własnoręcznie ją zatrzymał i zaprowadził przed tron sułtana.

Maruda blada i drżąca stanęła przed sułtanem.

— Kobieto! — rzekł sułtan. — Od dawna już zauważyłem twoją obecność w tej sali. Odwiedzasz mnie stale i pilnie co poniedziałek. Jesteś zapewne nieśmiała i dzięki temu dotąd nie odważyłaś się na wyjawienie swej prośby. Stoisz, milcząc, pod ścianą i wrzuszczasz przy tym ramionami. Nawiasem mówiąc, czybyś nie zechciała zaspokoić mojej ciekawości i wytłumaczyć mi mimochodem, czemu tak starannie i nieustannie wrzuszczasz ramionami?

— Władco mój i panie! — rzekła Maruda. — Mądrość twoja jest wielka, a oczy tak bystre, że nic się przed nimi nie ukryje. Toteż zgadłeś nieomylnie, że mam prośbę do ciebie. Wszakże nie ze swoją własną prośbą przychodzę, jeno spełniam życzenie mego syna Aladyna. Od chwili, gdy objawił mi to życzenie, zaczęłam wrzuszać ramionami i wrzuszam dotąd, bo doprawdy sama nie rozumiem, jak mogłam z taką prośbą zbliżyć się do twego tronu?

— Bądź odważna, moja kobiecino! — powiedział sułtan. — Tlum cały już wyszedł, i w sali nie ma nikogo, prócz mnie i mego wezyra. Możesz więc śmiało wygłosić swoją skromną prośbę.

— W tym właśnie sęk — szepnęła Maruda — że prośba moja wcale nie jest skromna.

— Cóż to za prośba? — spytał sułtan wielce rozciekawiony.

— Zuchwała! — odrzekła Maruda.

— Powiedz jednak, jaka? — nalegał sułtan.

— Nie byle jaka! — odparła Maruda.

— Chciałbym ją jednak posłyszeć! — mówił sułtan.

— Wolę w duszy ją nosić, bo mi wstyd ją wygłosić! — odpowiedziała Maruda.

— Czy znów chcesz swoją prośbę odroczyć do następnego poniedziałku? — zapytał coraz bardziej rozciekawiony sułtan.

— Władco mój i panie! — zawołała Maruda. — Jeśli chcesz, abym dziś jeszcze prośbę swoją wyznała, musisz mi uprzednio dać trzy przyrzeczenia: po pierwsze — że nie uczynisz ze mnie pośmiewiska; po drugie — że nie zlecisz swym odźwiernym, aby mnie obili różgami; po trzecie zaś — że nie każesz mnie powiesić na pułapie mej własnej chałupy!

— Przyrzekam ci, moja kobiecino! — rzekł sułtan, uśmiechając się pod wąsem. — Nie jestem ja ani tak mściwy, ani tak okrutny, abyś miała potrzebę zabezpieczania się od takich kar. Mów więc śmiało, czego pragniesz? Słucham cię uważnie.

— Czy mogę już zacząć swoją prośbę? — spytała Maruda.

— Możesz! — rzekł sułtan.

Maruda ostrożnie zdjęła z pleców worek, położyła go na podłodze, upadła na twarz przed sułtanem.

— Władco mój i panie! — zawołała. — Syn mój Aladyn groził mi, że życie sobie odbierze, jeśli nie powtórzę przed tobą jego zuchwałej prośby!

— O cóż mnie prosi twój syn Aladyn? — spytał sułtan.

— Władco mój i panie! — wrzasnęła przerażona własnymi słowami Maruda. — Syn mój Aladyn prosi cię o rękę twej córki, księżniczki Badrulbudury!

I, zanim sułtan zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Maruda chwyciła worek i wysypała z worka na ziemię zawarte w nim klejnoty.

— Władco mój i panie! — wrzasnęła znowu. — Syn mój Aladyn posyła w darze tobie i księżniczce te klejnoty, które oby ci się, jak mnie, nie wydały kolorowymi szkiełkami bez żadnej wartości!

Ze szmerem i brzękiem posypały się przed tron sułtana perły, topazy, rubiny, chryzolity, szmaragdy, szafiry, turkusy i brylanty. Posypały się, błyskając i barw tysiącem olśniewając zdumione i zachwycone oczy sułtana.

— Już lat pięćdziesiąt żyję na tym świecie — zawołał sułtan — a nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałych pereł i tak olbrzymich brylantów! Spójrz no, wezyrze, na te topazy! Dotknij tych szmaragdów! Poglaskaj te chryzolity! Co za klejnoty! Co za cuda! Co za czary! Co za dziwy! Co za blaski! Co za barwy! Dobra moja kobiecino! Twój syn Aladyn jest chyba największym na całej ziemi bogaczem! Chętnie mu oddam za żonę moją córkę. Prędko mu zanieś moją odpowiedź, aby czasem nie odebrał sobie swego drogiego życia. Byłaby to szkoda nieodżałowana, gdyby taki drogiego młodzieniec zabił się w kwiecie lat, nie otrzymawszy ręki mojej córki.

Słyszając to wielki wezyr zaczął głośno kaszlać i kichać, aby zagłuszyć słowa sułtana. Wezyr bowiem miał syna jedynaka, którego chciał właśnie ożenić z księżniczką Badrulbudurą. Pochylił się tedy ku sułtanowi i szepnął mu do ucha:

— Sułtanie! Jakże możesz przyobiecować swoją córkę młodzieńcowi, którego nie znasz wcale? Radzę ci, abys natychmiast cofnął swoją obietnicę.

— Nie mogę cofnąć — odszepnął sułtan — bo żaden sułtan nie cofa nigdy raz danego słowa.

— W takim razie — szepnął znowu wezyr — powiedz tej kobiecie, że jesteś zajęty sprawami państwa i że dopiero za trzy miesiące dasz jej odpowiedź ostateczną. Przez te trzy miesiące potrafimy chyba wspólnie obmyśleć odpowiednie sposoby unieważnienia twej obietnicy.

— Dobra kobiecino! — rzekł sułtan do Marudy, oglądając jednocześnie klejnoty, zerwane niegdyś przez Aladyna w ogrodach podziemnych. — Pocziwa kobiecino! Posłuszna i skromna kobiecino! Olśnił mnie dar twego syna i podobała mi się twoja nieśmiałość. Wszakże mam tyle przeróżnych spraw państwowych, że nie mogę teraz myśleć o ożenku mojej córki. Zbyt jestem w tej chwili zajęty budową złotego mostu nad rzeką, w której księżniczka Badrulbudura po raz pierwszy ujrzała swe odbicie, oraz sprowadzeniem z krajów zamorskich nowego kucharza, gdyż wczoraj właśnie kucharz mój dotychczasowy zapadł na tak dziwną chorobę, że nabrał nagłego a niezwalzonego wstrętu do wszelkich potraw, które sam przyrządza, i nie znosi ich widoku. Zamiast je po dawnemu smażyć i przyprawiać, zasłania je krepą żalobną i patrzy na nie smutnie i melancholijnie. Kazałem mu dzisiaj zarznąć barana. Zarznął go natychmiast — i podał do stołu surowego, przystroiwszy go uprzednio w czarne żalobne szaty. Rozumiesz więc, dobra kobiecino, że muszę pomyśleć o sprowadzeniu nowego kucharza i nie mam czasu na inne sprawy. Dopiero za trzy miesiące mogę ci dać odpowiedź ostateczną, kiedy i jak, i gdzie ma się odbyć ślub mojej córki z twoim synem.

Maruda pokłoniła się do nóg sułtanowi i wyszła.

Wróciwszy do domu, rzekła do Aladyna:

— Nie wyśmiał mnie sułtan i nie obił różgami, i powiesić nie kazał.

— Cóż ci odpowiedział? — spytał Aladyn.

— Odpowiedział, że odpowie dopiero za trzy miesiące — rzekła Maruda.

— Więc jest nadzieja, że się zgodzi na mój ślub z księżniczką?

— Jest nadzieja, że się zgodzi, bo już się zgodził — odparła Maruda. — Perły go oczarowały, brylanty go olśniły, topazy go zachwyciły. Zgodził się i nawet powiedział, że mu się podoba moja nieśmiałość.

Prosił tylko, abys zaczekał trzy miesiące, bo teraz jest bardzo zajęty i nie ma czasu na urządzenie twych zaślubin z księżniczką. Ciesz się, Aladynie! Za trzy miesiące będziesz mężem księżniczki!

Aladyn, uradowany, zaczął tańczyć wesoło po izbie.

Kuchnia, Melancholia

\*

Czas nie stoi i nie zwleka. — Czas upływa i ucieka. Minął miesiąc, minął drugi — lecz nie minął jeszcze trzeci.

Właśnie nadszedł dopiero trzeci miesiąc i zaczął upływać.

— Już dwa miesiące minęły — rzekł Aladyn do Marudy. — Jeszcze jeden, ostatni miesiąc na czekaniu zejdzie, a potem poślubię księżniczkę i zamieszkać w pałacu.

Nie domówił Aladyn tych słów, gdy nagle posłyszał za oknem odgłos trąb i harf, i bębnów, i cymbałów.

Wyjrzał przez okno i zobaczył muzykantów, którzy szli po ulicy z rycerzem na czele. Tłum ludzi otoczył rycerza, a on trzymał w ręku długi zwój pergaminu i, stanawszy nagle na środku ulicy, dał znak, aby się dokoła uciszono. Rozwinął potem pergamin i zaczął głośno czytać pismo, które czerniło się na pergaminie.

Aladyn i Maruda wysunęli głowy przez okno i uważnie nasłuchiwali.

— Ludzie wszyscy, ubodzy i bogaci! — czytał rycerz. — Otwórzcie oczy, otwórzcie usta i dziwcie się, i ciescie się, i słuchajcie! Oto wam przynoszę wieść cudowną, nowinę radosną! Dzisiaj wieczorem księżniczka nasza Badrulbudura poślubi pięknego Karmina, syna wielkiego wezyra. Życie im szczęścia, życie im wesela!

Zatrąbiły trąby, zabębniły bębny, zadzwoniły cymbały, zabrzękły harfy złociste. Rycerz zwinął pergamin i poszedł dalej, aby go na innych ulicach przed innym tłumem odczytać. Muzykanci poszli za nim. Tłum ruszył w ślad za muzykantami. Ulica opustoszała.

— Matko moja, matko! — zawołał Aladyn. — Sułtan nie dotrzymał słowa! Sułtan oszukał mnie i omamił! Jeszcze trzeci miesiąc nie upłynął, a już innemu oddał za żonę księżniczkę Badrulbudurę! Dzisiaj w pałacu będą tańce, będzie kapela i radość, i wesele! Muszę się uciec dziś wieczorem do pomocy lampy cudownej.

— Co? — zawołała przerażona Maruda. — Chcesz wywołać znowu błękitnego jego-mości? Możesz to zrobić, ale ja na cały wieczór wyjdę z chałupy.

Skoro wieczór zapadł, wyszła Maruda z chałupy. Aladyn wziął lampę cudowną i potarł ją mocno dłonią. I stało się to, co się stało! Zdarzyło się to, co się zdarzyło! Zjawił się duch błękitny, i cała izba pobłękitniała od światła, którym duch był nawskoroś<sup>16</sup> przesycony.

— Oto jestem na twoje rozkazy — rzekł duch — i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną!

— Błękitnij mi się w oczach, błękitnij, duchu błękitny! — odpowiedział Aladyn. — Stała mi się krzywda wielka, stał mi się smutek niespodziany. Sułtan słowa nie dotrzymał! Sułtan mnie oszukał! Trąbiły dziś trąby, bębniły bębny, dzwoniły cymbały i grały harfy złociste. Czy możesz mi, duchu błękitny, oznajmić, co się w tej chwili dzieje w pałacu?

— Mogę — odparł duch — bo widzę wszystko, czego ty nie widzisz, i słyszę wszystko, czego ty nie słyszysz. W pałacu teraz grzmi kapela. Goście jedzą, goście piją. Księżniczka się uśmiecha, a piękny Karmin zagląda jej w oczy. Za chwilę Karmin wraz z księżniczką ma wykonać taniec ślubny, a po tym tańcu stanie się to, co się stać miało dziś wieczorem: księżniczka będzie żoną Karmina.

— Duchu błękitny! — rzekł Aladyn. — Gdy piękny Karmin ujmie wpół księżniczkę, aby z nią tańczyć, porwij go nagle i unieś na komin mojej chałupy. Posadź go na kominie i przywiąż tak, żeby dopiero nad ranem mógł się odwiązać. Księżniczkę zaś unieś na brzeg rzeki i uwikłaj ją w trzcinię tak, żeby dopiero nad ranem mogła się wywikłać. Niech fala jej nóg nie zmoczy, niech trzcina jej twarzy nie zadraśnie, niech noc swym chłodem jej nie przejmie. Każ słowikom, aby przez noc całą śpiewały jej pieśni. Każ gwiazdom, aby zbliżyły się ku niej i świeciły tuż nad jej głową. Każ kwiatom, aby same odrywały się od swych łodyg i biegly do niej i układały się w wieńce i girlandy.

— Spełnię, coś rozkazał! — rzekł duch — i zniknął.

\*

<sup>16</sup>nawskoroś — dziś popr.: na wskroś. [przypis edytorski]

W pałacu bawiono się tymczasem znakomicie. Dzwoniły kielichy, skrzyło się wino. Piękny Karmin chwalił się przed księżniczką swymi bogactwami, a wezyr mówił szeptem do sułtana:

— Dobrze się stało, żeś nie oddał swej córki za mąż za jakiegoś nieznanego Aladyna, syna ubogiej kobiety, która nieustannie wzrusza ramionami. Masz przynajmniej pięknego, bogatego i szlachetnego zięcia, jakim jest syn mój Karmin. Za chwilę, według obyczajów naszego państwa, Karmin z księżniczką wykona taniec ślubny i nazwie ją swoją żoną.

— Już czas nawet, aby państwo młodzi wykonali ów taniec — zauważył sułtan.

Posłyszał to Karmin, wstał od stołu i zaprosił księżniczkę do tańca. Kapela zagrzmiała. Goście przestali jeść i pić i zwrócili oczy ku młodej parze.

Karmin ujął w pól księżniczkę i już uniósł lewą nogę w powietrze, aby taniec rozpocząć, gdy nagle stało się to, czego nikt nie oczekiwał.

I Karmin, i księżniczka znikli z przed oczu obecnych. Kapela grzmiała — ale dwojga tancerzy nie było. Sułtan i wezyr z wyciągniętymi szyjami przyglądali się jeszcze Karminowi i Badrulbudurze, ale już nie było ani Karmina, ani Badrulbudury. I goście jeszcze natężali wzrok, aby zobaczyć taniec, lecz nie widzieli ani tancerza, ani tancerki.

Na razie nikt nie zrozumiał, co się stało. Nikt bowiem dotąd nie widział nigdy takich tancerzy, który znikają, zamiast tańczyć.

Po chwili dopiero sułtan pierwszy zawołał:

— Gdzie się podziała moja jedynaczka, Badrulbudura?

Wezyr dodał natychmiast:

— Gdzie się podział mój jedynak, Karmin?

— Znikli, znikli oboje! — szeptali zdziwieni goście.

— Co to jest? Co to wszystko znaczy? — wołał oburzony sułtan. — Kto im pozwolił tak nagle zniknąć? Kto im pozwolił tak niepoważnie zachowywać się na własnym ślubie? I ja za młodu brałem ślub z moją nieboszczką żoną, lecz nie pamiętam, abym podczas ślubu zniknął sprzed oczu gości i własnego ojca!

Zaczęto szukać Karmina i Badrulbudury pod krzesłami, pod stołami, ale nadaremnie. Nie znaleziono ich nigdzie.

Duch błękitny przeniknął do pałacu, niewidzialny dla nikogo, porwał tancerzy i uniósł daleko. W tej chwili piękny Karmin siedział już na kominie chałupy Aladyna, przywiązany tak mocno, że nie mógł się poruszyć, a Badrulbudura, uwikłana w trzcinię nad rzeką, bezskutecznie próbowała wywikłać się z jej splotów. Dziwiło ją, że fala stóp jej nie moczy, trzcina twarzy jej nie tyka, a noc jej chłodem nie przejmuje. Gwiazdy nagle zbliżyły się do niej i świeciły tuż nad jej głową. Słowiki sfrunęły z drzew na trzcinię i śpiewały Badrulbudurze swe pieśni. Kwiaty same odrywały się od swoich łodyg. Tłumnie biegły ku księżniczce, wpełzały jej na ramiona, na szyję i na głowę i same układały się w girlandy i wieńce.

\*

Całą noc przesiedział piękny Karmin na kominie. Miotał się na strony, trzepotał rękami i nogami — lecz na próżno. Nie chciał, aby go ludzie ujrzeli na kominie, więc nie wołał o pomoc. Wstyd mu było, że zamiast tańczyć w pałacu, spędza noc na kominie jakiejś chałupy. Nad ranem dopiero zdołał rozluźnić sznury, które go krępowały, zsunął się co prędzej z dachu na ziemię i pobiegł do pałacu. Nikt go nie widział, gdyż był ranek wczesny i miasto jeszcze spało.

Jednocześnie i księżniczka wywikłała się z trzciny. Śpiesznym krokiem udała się natychmiast do pałacu. Nikt jej nie widział, jak szła po ulicach i jak znikła w bramie pałacowej.

Sułtan i wezyr przez noc całą wyczekiwali powrotu Karmina i Badrulbudury. Oboje wrócili niemal jednocześnie. Sułtan surowo spojrzął na córkę, a wezyr gniewnie spojrzął na syna.

— Mów mi natychmiast — rzekł wezyr do Karmina — czemuś bez pozwolenia sułtana zniknął z pałacu i gdzie noc spędziłeś?

Wstydził się Karmin przyznać, że spędził noc na kominie, więc spuścił oczy i odpowiedział:

— Nie wiem, gdzie noc spędziłem. Pamiętam, że znikłem i że straciłem z oczu sułtana i wszystkich gości tak samo zapewne, jak i oni mnie z oczu stracili. Jak i dlaczego znikłem — powiedzieć nie umiem, bo straciłem przytomność. Co się działo ze mną po owym nagłym zniknięciu — nie wiem. Uważam to zniknięcie za traf nieszczęśliwy, który ty, ojcze, wraz z sułtanem powinniście mi wybaczyć.

— Mów teraz ty, Badrulbuduro — rzekł sułtan do córki — czemuś znikła nagle bez mego pozwolenia i gdzie spędziłaś noc całą?

Badrulbudura też się wstydziła przyznać, że spędziła noc w trzcinie nadrzecznej, więc szepnęła nieśmiało:

— Nie wiem, gdzie noc spędziłam. Nie jestem przyzwyczajona do tak nagłego znikania, więc nawet nie zdążyłam zauważyć, jak i kiedy znikłam. Nie wiem, co się ze mną działo. To jedno tylko wiem, że nie chciałam zniknąć i że zniknęłam wbrew mej chęci i przeciw woli. Wraz z moim przyszłym mężem Karminem uważam to zniknięcie za traf nieszczęśliwy i proszę cię, ojcze, abys mi je wybaczył.

Sułtan zamyślił się głęboko i wreszcie rzekł.

— Wybaczam i tobie, i Karminowi to okropne zachowanie się podczas ślubu. Dziś wieczorem raz jeszcze wyprawię wam wesele i mam nadzieję, że tym razem powstrzymacie się od godnego kary i oburzenia zniknięcia.

Badrulbudura i Karmin nic na to nie rzekli.

Wieczorem znów goście zgromadzili się tłumnie w pałacu. Kapela znów zagrzała. Zdawało się wszystkim, iż tym razem wesele odbędzie się należycie, bez żadnych niespodzianych wypadków. Któż bowiem domyśliłby się, że Aladyn po raz wtóry rozkazał błękitnemu duchowi, aby porwał Karmina i Badrulbudurę w chwili, gdy staną do tańca? Nikt nawet nie znał Aladyna, nikt nie wiedział o istnieniu lampy cudownej, nikt nie przypuszczał, że w pałacu są czary i duchy.

Czary są wszędzie — na każdym miejscu i o każdej porze.

Powtórzyło się tym razem to, co się wczoraj stało. W chwili gdy, Karmin ujął w pól Badrulbudurę, aby taniec rozpocząć, znikli nagle oboje z oczu obecnych.

Sułtan poczerwieniał z gniewu, a wezyr zbladł z przerażenia.

Natychmiast sułtan razem z wezyrem wyszli z pałacu, aby wykryć miejsce pobytu obojga narzeczonych.

Noc całą chodzili po mieście z ulicy w ulicę, z placu na plac, z ogrodu do ogrodu. Nad ranem dopiero zbliżyli się przypadkiem do chałupy Aladyna.

Właśnie w tej chwili piękny Karmin, siedząc na kominie, już rozluźniał swe więzy i zamierzał komin opuścić, gdy nagle znieruchomiał z przerażenia, gdyż ujrzał koło chałupy sułtana i wezyra.

Sułtan i wezyr podnieśli głowy do góry i długo się przyglądali Karminowi. Karmin w złocistych szatach i w jedwabnych pantofelkach siedział nieruchomo na kominie i udawał, że się przygląda obłokom. Sułtan i wezyr oczom swym wierzyć nie chcieli.

— Karminie! — zawołał wezyr. — Czy to ty? Odpowiedz mi z komina!

— Ja, mój ojcze, ja, twój syn jedyny, Karmin!

— Jakim sposobem znalazłeś się na kominie? — spytał wezyr.

— Nie wiem — odpowiedział Karmin.

— Długo tam siedzisz?

— Siedzę noc całą, skrępowany sznurami, które dopiero nad ranem mogę rozluźnić.

— Rozluźnij więc sznury i zejdź z komina natychmiast! — rozkazał gniewnie wezyr.

Karmin rozluźnił sznury i zsunął się z dachu na ziemię.

— Wezyrze! — powiedział sułtan, marszcząc brwi i wskazując palcem Karmina. — Wstyd to i hańba, aby potomek rycerskiego rodu wałęsał się po dachach cudzych chałup! Nie chcę mieć zięcia, który całe noce spędza na kominie! Nie oddam mu za żonę mojej córki i rozkazuję, aby mi odtąd na oczy nie śmiał się pokazać!

— Słyszałeś rozkaz sułtana? — zapytał wezyr Karmina. — Wracaj natychmiast do domu, i od tej chwili noga twoja nie postanie w pałacu sułtańskim!

Zrozpaczony Karmin ze łzami na oczach oddalił się natychmiast, kierując swe kroki w stronę domu ojcowskiego. Sułtan zaś razem z wezyrem wyruszyli w dalszą drogę na poszukiwania księżniczki Badrulbudury.

Traf zdarzył, iż, wyszedłszy za miasto, znaleźli się nagle na brzegu rzeki. Sułtan mimochodem spojrzął na zagęszcza trzciny i zauważył, że w trzcinie coś się porusza. Poruszała się właśnie księżniczka Badrulbudura. Była to chwila, gdy miała się oto z trzciny wywikłać i co prędzej do pałacu wrócić.

Sułtan włożył na nos okulary i zajrzał w głąb trzciny. Jakież było jego zdumienie i oburzenie, gdy ujrzał w trzcinie własną córkę! Twarz mu poczerwieniała od wstydu i gniewu.

Badrulbudura w ślubnej jedwabnej szacie szamotała się usilnie w splotach trzciny nad-rzecznej. Machając białymi rączkami, rozgarniała pogmatwane łodygi trzciny, aby utrować drogę swym drobnym stopom, strojnym w złote pantofelki. Wreszcie wydostała się z gęstwiny i wyskoczyła na brzeg.

Ujrawszy sułtana i wezyra, zarumieniła się po uszy, spuściła oczy i stanęła nieruchomo.

Sułtan ujął się pod boki i, kołysząc się z nadmiernego gniewu, zawołał:

— Po tom<sup>17</sup> ci wyprawiał w pałacu wesele sute i huczne, abyś, zamiast tańczyć, siedziała w trzcinie nadrzecznej? Co za wybryki karygodne opętały twoją głowę! Jak to? Córka najpotężniejszego sułtana po raz wtóry mimo zakazu znika podczas uczty ślubnej i całą noc spędza w trzcinie? Co to wszystko znaczy? Wstyd i hańba spada na mnie za twoje postęпки! Ładny ślub i ładne wesele! Panna młoda nad rzeką w gęstwinie trzcinowej, a pan młody na kominie jakiejś chałupy! Wiedz o tym, że Karmin od dzisiaj przestał już być twoim narzeczonym. Nie chcę mieć zięcia z komina!

— Sułtanie! — szepnął wezyr. — Gniew twój jest słuszny, ale w gniewie zapominasz o tym, że księżniczka podczas chłodnej nocy nad rzeką mogła się przeziębnić.

Sułtan poprawił na nosie okulary i głosem łagodniejszym zapytał:

— Czy przemoczyłaś nogi w wodzie?

— Nie — odrzekła Badrulbudura — nie przemoczyłam, bo fala nóg moich nie tknęła.

— A może trzciny twarz ci podrapały?

— Trzciny uchylily się od mojej twarzy, aby jej nie zadrasnąć.

— Więc może chłód nocny przejął cię dreszczem, który jest oznaką przeziębienia?

— Chłód nocny omijał mnie i oszczędzał — odparła księżniczka — a noc była piękna, jak bajka. Słowiki śpiewały mi swe pieśni. Gwiazdy zbliżyły się do mnie i błyskały tuż nad moją głową, a kwiaty odrywały się od swych łodyg, biegły ku mnie, wpełzały mi na piersi, na szyję i na skronie i same układały się w girlandy i wieńce.

— Śniło ci się to chyba. — zauważył sułtan. — Nie traćmy jednak czasu i wracajmy do pałacu, zanim miasto się zbudzi.

Sułtan z Badrulbudurą wrócił do pałacu. Nikt ich nie widział, gdyż ranek był tak wczesny, że ludność jeszcze spała.

Karmin dzień cały przepłakał, że mu się nie udało poślubić pięknej księżniczki.

\*

Czas nie stoi i nie zwleka. Czas upływa i ucieka.

Minął trzeci umówiony miesiąc i nadszedł poniedziałek, dzień Dywanu.

Rzekł tedy Aladyn do Marudy:

— Matko moja, matko! Minął trzeci umówiony miesiąc. Dziś właśnie sułtan przyobiecował ci dać odpowiedź ostateczną i naznaczyć dzień mego ślubu z księżniczką. Idź do pałacu i przypomnij sułtanowi jego obietnicę.

— Chętnie pójde do pałacu — odpowiedziała Maruda. — Już opuściłam tyle poniedziałków, że aż mi nudno i markotno na duszy. Zdaje mi się, że żaden Dywan beze mnie odbyć się należycie nie może.

Poszła Maruda do pałacu.

<sup>17</sup>Po tom ci wyprawiał — dziś raczej: po to ci wyprawilem. [przypis edytorski]

Tym razem nie wzruszała ramionami, jeno stanęła po pod ścianą i czekała cierpliwie, aż cały tłum sałę opuści. Wówczas sama co tchu podbiegła do tronu, upadła przed sułtanem twarzą na ziemię i z całych sił wrzasnęła:

— Władco mój i panie! Trzy miesiące upłynęły od czasu, jak mi przyrzekłeś dać odpowiedź ostateczną. Śpieszno memu synowi do ożenku, a i tobie zapewne śpieszno do spełnienia swych przyrzeczeń sułtańskich. Święte i niezłomne jest słowo sułtana. Toteż przychodzę tym razem, aby cię zapytać, gdzie i jak, i kiedy ma się odbyć ślub mego Aladyna z twoją Badrullbudurą?

Sułtan się skrzywił, zadumał, pokiwał głową i rzekł wreszcie szeptem do wezyra:

— Mój kochany wezyrze! Słowa swego dotrzymać muszę, a jednocześnie nie chcę poślubić mej córki jakimś tam synalkowi jakiejś tam starowiny. Poradz mi, co mam uczynić?

Skrzywił się z kolei wezyr, zadumał się, pokiwał głową i rzekł wreszcie szeptem do sułtana:

— Postaw jaki trudny warunek, którego by ów synalek spełnić nie mógł, i powiedz, że tylko pod tym warunkiem zgadzasz się oddać mu za żonę swoją córkę.

Uśmiechnął się sułtan, spojrzął na Marudę i rzekł:

— Pocziwa kobiecino! Zgadzam się chętnie na ślub twego syna z moją córką, ale pod warunkiem, że syn twój przysśle mi czterdziestu Murzynów, z których każdy będzie dźwigał na głowie złotą szkatułę, napelnioną po brzegi takimi samymi klejnotami, jak te, któreś mi dawniej w worku przyniosła. Prócz tego na czele Murzynów niech czterdziestu białych niewolników w bogatych szatach i na arabskich rumakach dźwiga kosze kwiatów, nieznanym żadnemu ogrodnikowi. Na przedzie zaś tych niewolników niech kroczy rycerz w brylantowej zbroi i niech trzyma w ręku taką trąbę, która by głosem ludzkim śpiewała hymny na moją chwałę. Jeżeli twój Aladyn spełni ten warunek, i ja wówczas dotrzymam swego słowa.

Wróciła Maruda do chałupy i opowiedziała Aladynowi, pod jakim warunkiem zgodził się sułtan na ślub jego z księżniczką.

— Wyjdź z domu, matko, — rzekł Aladyn — bo z duchem błękitnym porozumieć się muszę.

Wyszła Maruda z chałupy. Aladyn potarł lampę dłonią. I stało się to, co się stało. I zdarzyło się to, co się zdarzyło. Zjawił się duch błękitny, i cała chałupa napelniła się błękitną jasnością.

Duch rzekł głosem donośnym:

— Otom jest na rozkazy twoje i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

— Błękitnij mi w oczach, błękitnij, duchu błękitny! — zawołał Aladyn. — Wiesz zapewne, pod jakim warunkiem sułtan zgodził się na mój ślub z księżniczką. Spełnij natychmiast ten warunek. Prócz tego przystrój mnie i matkę moją w szaty książęce. Dla mnie sprowadź rumaka białego i dwudziestu rycerzy konnych. Dziesięciu z nich niechaj trzyma w ręku sakwy, dukatami napelnione. Dla matki mojej sprowadź dwadzieścia pannie dworskich, aby jej usługiwały. Pamiętaj tylko, że matka moja lęka się twego widoku, więc bądź dla niej usłużny, lecz jednocześnie niewidzialny.

Ledwo Aladyn słów tych domówił — duch zniknął, a po chwili wewnątrz chałupy i całe podwórze zaroilo się od tłumy nagle zjawionych ludzi i koni. Aladyn spojrzął na siebie i nie poznał swej własnej postaci, miał bowiem na sobie szaty książęce, przetykane srebrem, złotem, naszywane perłami i diamentami. Skrzył się cały i złościł, i połyskiwał, i srebrzył, i perlił.

Wyszedł na podwórze, aby rumaki obejrzyć. Natychmiast jeden z rycerzy podał mu białego, cudownego rumaka. Dosiadł Aladyn rumaka, wyjechał na ulicę i stanął pod chałupą. Ustawił zaraz w szyku odpowiednim czterdziestu Murzynów ze szkatułami złotymi, pełnymi po brzegi klejnotów, i czterdziestu niewolników z koszami kwiatów, nieznanym żadnemu ogrodnikowi. Na czele ich stanął rycerz z trąbą, która głosem ludzkim śpiewała hymny na chwałę sułtanowi.

Rozkazał Aladyn całemu orszakowi iść niezwłocznie do pałacu sułtana i złożyć u stóp jego świetne dary.



Ruszył rycerz z trąbą, ruszyli za rycerzem niewolnicy, ruszyli za niewolnikami Murzyni, kierując swe kroki do pałacu.

Tymczasem dwudziestu rycerzy konnych otoczyło Aladyna.

Aladyn rzekł z konia do dziesięciu pierwszych, którzy trzymali w rękach sakwy, napełnione dukatami:

— Rycerze moi wierni! Gdy po drodze do pałacu będziemy mijali ulice za ulicami, garścią pełną siejcie naokół dukaty między przechodniów — nędzarzy i biedaków.

Ledwo tych słów domówił, a ujrzał na zakręcie ulicy Marudę w szatach książęcych, otoczoną rojem panien służebnych. Maruda szła, głośno szeleszcząc jedwabiami i co chwila płacząc stopy w zawiłych fałdach swej długiej szaty. Na zakręcie ulicy potknęła się nagle i upadła. Panny służebne pochwytyły ją zaraz i postawiły na nogi.

— Aladynie, Aladynie! Spójrz na mnie z konia i dziwuj się, i zachwycaj, i wierzaj, i nie wierzaj! Sama nie wiem, jak się to stało. Ale stało się i już się chyba nie odstanie. Ni stąd, ni zowąd zjawiły się na mnie szaty książęce. I ni stąd, ni zowąd otoczyły mnie nagle panny służebne. Nie przywykłam do noszenia takiej długiej jedwabnej sukni, więc co chwila się potykam i padam, jak długa, na ziemię, a panny służebne co chwila mnie podnoszą. I nic innego nie robią, jeno mi usługują, usługują i usługują. Nigdy jeszcze tak łatwo i tak często nie padałam na ziemię i nigdy jeszcze nie byłam tak starannie obsłużona.

— Śpiesz, matko! — odpowiedział Aladyn. — Już czas nam w drogę. Idziemy wprost do sułtana, który nam z pewnością nie odmówi przyjęcia.

Aladyn ze swoim orszakiem ruszył naprzód, a Maruda podreptała w ślad za nim, otoczona rojem panien służebnych.

Przechodnie z podziwem oglądali Aladyna i jego białego cudownego rumaka. Nikt nie poznał w Aladynie dawnego syna krawca. Zmienił go bowiem nie do poznania nie tylko strój książęcy, lecz i częste rozmowy z duchem błękitnym. Kto przez czas długi jest w posiadaniu lampy cudownej, ten w końcu pięknieje i nabiera wyglądu iście książęcego.

Rycerze pełną garścią rozrzucali naokół dukaty, a nędzarze i biedacy zbierali je i zgarbiali, oczarowani hojnością Aladyna.

Cały orszak z Aladynem na czele zbliżył się wreszcie do pałacu sułtana. Zdziwił się wówczas Aladyn, ujrawszy przed pałacem Marudę, otoczoną rojem panien służebnych. Szła piechotą, a wyprzedziła cały orszak konny. Wybrała bowiem Maruda najkrótszą drogę do pałacu przez uliczki i zaułki, nieznane Aladynowi. Pierwszy to raz Maruda, zamiast marudzić, wcześniej od innych przybyła na miejsce umówione.

Aladyn więc razem z Marudą wszedł do pałacu.

Murzyni i niewolnicy złożyli już swe dary u stóp sułtana. Obok tronu stał rycerz z trąbą, która głosem ludzkim śpiewała hymny na chwałę sułtanowi.

Sułtan, ujrawszy Aladyna, zeskoczył z tronu i pobiegł ku niemu na spotkanie. Aladyn chciał, według obyczaju, twarzą na ziemię paść przed sułtanem, ale sułtan nie pozwolił. Objął Aladyna za szyję i zaczął go całować tak mocno, że o mało go nie zadusił.

— Aladynie! — zawołał sułtan. — Wykonałeś mój warunek tak szybko, że nie miałem czasu dość się nadziwić i nazachwycać twymi darami. Jesteś młody, piękny i zgrabny, jak prawdziwy książę. Nie mógłbym wymarzyć wspanialszego zięcia dla siebie i wspanialszego męża dla mojej córki. Toteż chcę, aby dziś jeszcze odbył się twój ślub z księżniczką Badrulbudurą.

— Sułtanie! — odpowiedział Aladyn. — Kocham księżniczkę, ale dziś jeszcze poślubić jej nie mogę. Proszę cię o to, abyś dzień ślubu odsunął aż do czasu, gdy wybuduję dla księżniczki pałac, jakiego nikt dotąd nie widział. Przed twoim pałacem znajduje się plac pusty. Czy pozwolisz mi, sułtanie, na tym placu zbudować pałac własny?

— Pozwalam ci, Aladynie, pozwalam! — zawołał sułtan. — Śpiesz się jednak z budową pałacu, bo chcę jak najprędzej ożenić cię z moją córką jedynaczką.

— W takim razie — rzekł Aladyn — muszę cię opuścić i natychmiast zająć się budową pałacu.

Aladyn pożegnał sułtana i razem z Marudą wyszedł z pałacu.

\*

Wróciwszy do domu, Aladyn wywołał ducha błękitnego i kazał mu w ciągu jednej nocy zbudować najpiękniejszy pałac na pustym placu przed pałacem sułtana.

Nazajutrz sułtan wyszedł z rana razem z wezyrem na balkon, i obydwaj oniemieli z podziwu. Na placu, wczoraj jeszcze pustym, stał pałac olbrzymi i tak piękny, że oko ludzkie nie widziało dotąd takiego pałacu.

— Wezyrze, jakże ci się podoba Aladyn? — rzekł sułtan, dumny z przyszłego zięcia. — Zuch to i chwat, jakich mało! W ciągu jednej nocy zdążył wybudować taki pałac, jakiego oko ludzkie dotąd nie oglądało!

— Zdaje mi się, że są to sztuki czarnoksiężskie — zauważył wezyr — i że Aladyn jest czarnoksiężnikiem.

— Mówi przez ciebie zazdrość — odpowiedział sułtan. — Zły jesteś, że ci się nie udało swego syna z moją córką ożenić, i dlatego rzucasz teraz na Aladyna podejrzenia i oszczerstwa.

Słońce oświetlało nowy pałac, jarząc się rześcicie na złotym dachu i w kryształowych szybach. Białe marmurowe ściany pałacu lśniły się w przezroczym, porannym powietrzu. Drzewa rzucały na te białe ściany swe błękitne gałęziste cienie.

Sułtan wdział na nos okulary i z zachwytem przyglądał się pałacowi.

Nagle brama pałacu rozwarła się na oścież, i ukazał się Aladyn, a za nim Maruda, otoczona rojem panien służebnych. Brama pałacu Aladyna połączona była z bramą pałacu sułtana złotym mostem. Aladyn duchowi błękitnemu rozkazał ten most przerzucić umyślnie, aby piękna Badrulbudura mogła wprost po tym moście przejść z pałacu ojcowskiego do pałacu mężowskiego.

Aladyn wraz z Marudą wstąpili na most złoty i przeszli po nim do pałacu sułtana.

— Sułtanie! — rzekł Aladyn. — Już zbudowałem pałac dla mojej przyszłej żony, dziś więc wieczorem mogę ją już poślubić.

— Aladynie! — zawołał sułtan. — Brak mi słów, aby wyrazić swój zachwyt dla ciebie i twego pałacu. Co dzień z rana będę odtąd wychodził na balkon, żeby się przyglądać cudownej architekturze nowego pałacu. Widok jego czaruje mnie, rozprasza nudę, budzi najweselsze myśli i marzenia. Jestem szczęśliwy, że już dziś wieczorem staniesz się nareszcie moim zięciem i mężem mej córki.

Wieczorem tego dnia odbył się ślub Aladyna z księżniczką Badrulbudurą.

Świetnie udał się nowożeńcom taniec ślubny! Nie zniknęli z przed oczu obecnych, lecz, przeciwnie, wirowali długo po komnacie pałacowej, budząc ogólny zachwyt i podziw.

Po skończonym ślubie sułtan, wezyr, Maruda, Aladyn i Badrulbudura po złotym moście przeszli z jednego pałacu do drugiego.

Długo wszyscy chodzili po komnatach i salach nowego pałacu i podziwiali przepych i bogactwo. Szczególnie podobała się sułtanowi jedna sala o dwudziestu czterech oknach. Ściany miała wysadzane brylantami, a posadzkę — turkusami.

Badrulbudura pokochała bardzo Aladyna, a właściwie księcia Aladyna, gdyż Aladyn stał się teraz księciem, a Maruda — księżną Marudą.

Sułtan co dzień z rana wychodził na balkon swego pałacu i oglądał pałac Aladyna, oświetlony promieniami wschodzącego słońca. Często też zwykł był mawiać do wezyra:

— Co bym ja robił na tym świecie bożym, gdybym nie miał tego balkonu, a przed balkonem tego cudownego pałacu, którego widok szczęściem napawa moje oczy?

Wezyr nic na to nie odpowiadał. Złość i zazdrość zjadały go na myśl, że codzienne wystawanie na balkonie naprzeciwko pałacu Aladyna stało się najulubieńszem zajęciem sułtana.

\*

Pewnego razu książę Aladyn wyjechał na polowanie.

W tym samym właśnie czasie zdarzyło się, iż Rocioender, przebywający w samym środku Afryki, przypomniał sobie, iż kilka lat temu dał Aladynowi pierścień zaklęty. Wspomnienie to pobudziło go do gniewu, bo wszakże przy pomocy pierścienia Aladyn mógł wydostać się z podziemi i uniknąć zemsty Rocioendra. Zapragnął więc Rocioender dowiedzieć się, co się dzieje w tej chwili z Aladynem. Wyjął z zanadza tablicę zaklętą

i posypał ją piaskiem. Piasek zawirował, zapląsał, zawichrzył się i nagle ułożył się w takie słowa.

— Księżę Aladyn poślubił piękną księżniczkę Badrulbudurę. Mieszkają razem we wspaniałym pałacu, zbudowanym w ciągu jednej nocy naprzeciwko pałacu sułtana. W tymże pałacu znajduje się lampa cudowna oraz księżna Maruda, otoczona rojem panien służebnych. W tej chwili księżę Aladyn wyjechał na polowanie i dopiero za trzy dni powróci do swego pałacu.

Przeczytał te słowa Roeoender i zapienił się ze złości. Natychmiast swoim obyczajem przeskoczył z Afryki do Chin i korzystając z nieobecności Aladyna, przystąpił niezwłocznie do wykonania przebiegłej zemsty. Kupił w sklepie dwanaście lamp miedzianych, złożył je do kosza i z koszem w ręku pobiegł przed pałac Aladyna.

Przechadzając się tam i z powrotem przed pałacem, wołał na całe gardło:

— Za jedną starą lampę dwie nowe daję w zamian! Za jedną starą lampę dwie nowe daję w zamian!

Badrulbudura stała w oknie i posłyszała te wołania. Zwróciła się do służącej, która komnatę właśnie zamiatała, i rzekła:

— Czy to dziwak, czy to wariat biega z koszem w ręku i obiecuje za jedną starą lampę dać w zamian dwie nowe? Ciekawam, czy spełniłby swoje przyrzeczenie, gdyby mu jaką starą lampę nagle ofiarowano?

— Łatwo to sprawdzić — odpowiedziała służąca. — Oto tam, w kącie komnaty, na szafie stoi jakaś stara zakurzona lampa. Zniosę ją temu wariatowi, niechże mi da w zamian dwie nowe.

— Zrób to! — zawołała Badrulbudura. — Zobaczymy zaraz, czy ten dziwak kłamie, czy też prawdę mówi.

Służąca zdjęła z szafy lampę i zniosła ją Roeoendrowi. Była to niestety lampa cudowna, którą Aladyn w domu zostawił.

Roeoender obejrzał lampę, domyślił się od razu, że jest to lampa cudowna, dał w zamian dwie nowe, oddalił się szybko i znikł w ulicy.

Służąca, śmiejąc się do rozpuku, pobiegła z powrotem do Badrulbudury i pokazała jej dwie nowe lampy.

\*

Roeoender, uczuwszy się szczęśliwym posiadaczem lampy cudownej, kilka razy aż poskoczył w górę z radości. Ukrył się potem w pustej alei jednego z ogrodów pobliskich, wyjął lampę z kieszeni i potarł ją mocno dłonią. Wówczas stało się to, co się stało. Zdarzyło się to, co się zdarzyło. Zjawił się duch błękitny, i cała aleja napełniła się błękitną jasnością.

Duch zawołał głosem donośnym:

— Oto jestem na rozkazy twoje i na rozkazy tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną!

— Duchu! — zawołał Roeoender. — Rozkazuję ci, abyś natychmiast i mnie, i pałac Aladyna przeniósł z Chin na sam środek Afryki!

Zaledwo Roeoender domówił tych słów, a duch zniknął.

Po chwili i Roeoender, i pałac Aladyna jednocześnie się zachwiali. Roeoender zachwiał się na nogach, a pałac — w swych posadach. Potem oboje jednocześnie oderwali się od ziemi i, uniósłszy się w powietrze, pofrunęli z Chin na sam środek Afryki.

Nazajutrz z rana sułtan, jak zazwyczaj, wyszedł na balkon, aby się przyjrzeć pałacowi Aladyna. Wyszedł, stanął, spojrzął, przetarł oczy i spojrzął znowu. Potem wdział na nos okulary, zdjął je z nosa, przetarł starannie chustką, wdział na nos powtórnie, spojrzął znowu, zadrżał, zbladł, poczerwieniał, posiniał, pozieleniał, chwycił się za serce, chwycił się za głowę i wreszcie wrzasnął przerażony:

— Nie ma! Nie ma! Nie ma! Nie ma!

Posłyszał wezwr wrzask sułtana i też wybiegł na balkon.

— Czego nie ma? — zapytał.

— Nie ma tego, co było, a co być przestało! — wrzeszczał sułtan.

— O czym mówisz, sułtanie? — zapytał znowu wezwr. — Powiedz mi, co było i być przestało?

Sułtan wytrzeszczył na wezyra osłupiałe z przerażenia oczy i wrzeszczał dalej:

— Był plac, na placu — pałac, a w pałacu — moja córka. Nie ma pałacu, nie ma mojej córki! Jest tylko jeden pusty plac, który mnie najmniej zawsze obchodził! Wszystko być przestało, prócz tego placu. On jeden dotąd istnieje, chyba po to, aby mi przypominać, że jest pusty!

Wezyr teraz dopiero spojrzął na plac i, nie widząc tam nic, prócz pustki, aż przysiadł do ziemi z przerażenia.

— Może mnie mylą moje stare oczy! — zawołał zrozpaczony sułtan. — Wezyrze, jesteś młodszy, spójrz na plac i powiedz, co tam widzisz?

— Nic nie widzę! — odpowiedział wezyr.

— Gdzież się podział pałac Aladyna? — lamentował sułtan.

— Sułtanie! — rzekł wezyr. — Mówiłem ci zawsze, że pałac ten jest dziełem sztuki czarnoksiężskiej i że zięć twój Aladyn jest złym czarnoksiężnikiem.

— Miałaś zupełną słuszność! — jęknął sułtan. — Gdzież obecnie znajduje się Aladyn?

— Wyjechał na polowanie na trzy dni — odpowiedział wezyr.

— Poślij natychmiast w ślad za nim dziesięciu rycerzy, aby go schwytali, okuli w kajdany i okutego wtrącili do więzienia.

Wezyr pobiegł z radością, aby spełnić rozkaz sułtana.

Po chwili dziesięciu rycerzy wyruszyło w drogę na poszukiwanie księcia Aladyna. Znaleźli go w lesie, nad strumieniem. Podeszli go z tyłu, chwycili za dłonie, okuli w kajdany, wrócili z nim do miasta i wtrącili do więzienia okutego Aladyna.

Wezyr pobiegł do sułtana i oznajmił, że Aladyn siedzi już w więzieniu. Sułtan rozkazał, aby kat niezwłocznie ściął głowę Aladynowi.

Ponieważ kat mieszkał za miastem, więc wezyr posłał jednego rycerza, aby kata sprowadził.

Aladyn, wtrącony do więzienia, przeczuwał śmierć bliską. Złożył więc dłonie do modlitwy i szepnął:

— Boże! Ratuj niewinnego od śmierci niezasłużonej!

Składając dłonie, potarł bezwiednie pierścień zaklęty, który zawsze na palcu nosił. Wnet duch złoty, w pierścieniu ukryty, zjawił się i zawołał:

— Oto jestem na rozkazy twoje i tych wszystkich, którzy posiadają pierścień zaklęty.

— Złość się, złość się, duchu złoty! — rzekł Aladyn. — Krzywda mi się stała, smutek mi się zdarzył! Pałac mój zniknął bez śladu, i znikła żona moja Badrulbudura! Powróć mi mój pałac i moją żonę!

— Nie mogę tego uczynić! — odpowiedział duch złoty. — Pałac twój należy do ducha błękitnego, który jest potężniejszy ode mnie. Nie wolno mi się wtrącać do jego spraw i do jego czynów. Mogę tylko przenieść cię z więzienia wprost do twego pałacu, gdzie zastaniesz swą żonę, piękną Badrulbudurę.

— A więc rozkazuję ci, duchu złoty — zawołał Aladyn — ażebyś przeniósł mnie natychmiast do mego pałacu.

Zaledwo Aladyn słów tych domówił, a duch złoty zazłocił się jeszcze rzęsiściej, pochwycił Aladyna na swe skrzydła i przeniósł go z więzienia wprost do pałacu na sam środek Afryki. Podczas lotu nad ziemią z nóg i rąk Aladyna spadły kajdany, i Aladyn stanął pod bramą swego pałacu wolny i pełen nadziei.

Piękna Badrulbudura stała w oknie pałacu i smutnie patrzyła na Afrykę, której nie znała. Nagle krzyknęła z radości, ujrzawszy Aladyna. Kazała swym sługom otworzyć bramę pałacową.

Aladyn wszedł, rzucił się na szyję swej żonie, i oboje płacząc opowiadali sobie przez łzy o tym, co się każdemu przytrafiło.

Okazało się, że Roeoender zażądał od Badrulbudury, aby została jego żoną. Badrulbudura poznała w Roeoendrze starego dziwaka, który za jedną starą lampę dwie nowe w zamian obiecywał. Domyślił się tedy Aladyn, że Roeoender został posiadaczem lampy cudownej i duch błękitny, posłuszny jego rozkazom, przeniósł pałac z Chin do Afryki.

Roeoendra nie było teraz w pałacu. Wyszedł do lasu, aby upolować zwierzynę.

Aladyn ukrył się za drzwiami i z mieczem w ręku wyczekiwał jego powrotu.

Wieczorem Roeoender wrócił do pałacu.

Gdy koło drzwi przechodził, Aladyn uderzył go mieczem tak, że straszny Roeoender padł martwy na ziemię.

Wówczas Aladyn znów zawładnął lampą cudowną i kazał duchowi błękitnemu przenieść pałac z powrotem do Chin.

Duch błękitny natychmiast rozkaz Aladyna wykonał — ku wielkiej radości Badrulbudury, która niecierpliwie wyczekiwała chwili, kiedy pałac wreszcie uniesie się w powietrze i skieruje swój lot w stronę Chin na plac przed pałacem jej ojca.

I rzeczywiście pałac się uniosł w powietrze i zatrzymał się dopiero na placu w Chinach. Duch błękitny przeniósł go tak zręcznie i lekko, że Badrulbudura czuła tylko dwa wstrząśnięcia: jedno, gdy pałac oderwał się od ziemi afrykańskiej, a drugie, gdy się ustawił na placu w Chinach.

Stało się to wieczorem.

Nazajutrz z rana sułtan wyszedł znów na balkon i znów się zdumiał, oczom swym nie dowierzając! Pałac stał, jak dawniej, na placu. Brama pałacowa rozwarła się na oścież, i w bramie stanął Aladyn, Badrulbudura i Maruda, otoczona rojem panien służebnych.

Wszyscy przeszli po złotym moście do pałacu sułtana.

Badrulbudura rzuciła się na szyję sułtanowi i rzekła:

— Ojczule! Jak mogłeś wtrącać do więzienia i skazywać na śmierć Aladyna, którego kocham nad życie, a który jest niewinny! Winien wszystkiemu czarnoksiężnik Roeoender, którego imię straszno mi i trudno wymówić, a którego trup znajduje się w naszym pałacu. On właśnie przeniósł nasz pałac na sam środek Afryki. Lecz Aladyn śmiercią go ukarał. Możesz stwierdzić naocznie prawdę słów moich, oglądając trupa Roeoendra.

Wszyscy więc z sułtanem na czele poszli do pałacu Aladyna.

Sułtan obejrzał zwłoki Roeoendra i rzekł:

— Po raz pierwszy oglądam zwłoki czarnoksiężnika. Widzę teraz, że Aladyn jest niewinny, i cieszę się, żeście wszyscy wraz z waszym pałacem wrócili szczęśliwie na dawne miejsce waszego pobytu. Będę znów co dzień wychodził na balkon, aby napawać oczy widokiem cudownego pałacu.

Zwłoki Roeoendra Aladyn kazał oddać krukom na pożarcie, a lampę cudowną nosił odtąd zawsze w zanadrzu.

\*

Los tak chciał, że na Aladyna czyhało w życiu jeszcze jedno niebezpieczeństwo.

Roeoender miał w Afryce młodego brata, też czarnoksiężnika. Brat ten od dawna Roeoendra nie widział, bo, o ile Roeoender lubił przebywać w samym środku Afryki, brat jego włóczył się zazwyczaj po jej brzegach.

Pewnego razu młody czarnoksiężnik zapragnął dowiedzieć się, co się dzieje z Roeoendrem. Wyjął więc z zanadru tablicę zaklętą, posypał ją piaskiem, i piasek natychmiast ułożył się w taki napis:

— Roeoender został oddany na pożarcie krukom. Zabił go książę Aladyn, który mieszka w Chinach we wspólnym pałacu naprzeciwko pałacu samego sułtana.

Młody czarnoksiężnik niezwłocznie przeskoczył z Afryki do Chin. Obejrzał pałac Aladyna i dowiedział się od strażnika pałacowego, że Aladyn wyjechał na polowanie i za trzy dni dopiero powróci.

Przez dwa dni młody czarnoksiężnik wałęsał się po mieście i obmyślał plan zemsty.

Pierwszego dnia nic nie obmyślił.

Na drugi dzień zobaczył na ulicy jakąś kobietę w czarnych szatach i z białą zasłoną na twarzy.

— Co to za kobieta? — zapytał jakiegoś przechodnia.

— Jak to? Czyż nie znam tej kobiety? — zawołał zdziwiony przechodzień. — Jest to święta Fatyma, którą czci i uwielbia całe miasto. Fatyma uzdrawia chorych, kalekom prostuje nogi i ręce, ślepych przywraca wzrok, a głuchym słuch. Mieszka zaś w pustelni pod górą, za miastem, gdzie ma celę, wyżłobioną w skale.

Wieczorem tego dnia młody czarnoksiężnik poszedł za miasto pod górę, do pustelni. Znalazł skałę, a w skale drzwi drewniane, i zapukał do drzwi.

Fatyma drzwi otworzyła i spytała:

— W jakim celu przychodzisz w tak późnej godzinie?  
 — W takim celu, aby cię nauczyć milczenia — odpowiedział czarnoksiężnik.  
 — Co znaczą twoje słowa? — spytała znowu złękciona Fatyma.  
 — Słowa moje znaczą to, że zabiję cię natychmiast, jeśli się odważysz wołać o pomoc.  
 Milcz i w milczeniu spełniaj wszystko, cokolwiek ci rozkażę.  
 — Słucham cię — szepnęła Fatyma.  
 — Widzę, że twarz swą według zwyczaju derwiszów pokrywasz żółtą farbą. Pokryj mi moją twarz taką samą farbą.  
 Fatyma posłusznie pociągnęła twarz czarnoksiężnika żółtą farbą.  
 — Czy jestem teraz podobny do ciebie? — spytał czarnoksiężnik.  
 — Jesteś tak podobny, że z dala trudno cię ode mnie odróżnić.  
 — Dobrze — rzekł czarnoksiężnik. — Oddaj mi teraz swoje szaty, a sama przebierz się w moje.  
 Fatyma odala mu swoje szaty. Czarnoksiężnik przywdział je i szepnął złowrogo:  
 — Oddaj mi teraz swoją białą zasłonę, którą nosisz na twarzy.  
 Fatyma oddała mu zasłonę.  
 Czarnoksiężnik szepnął wówczas ciszej i groźniej.  
 — Oddaj mi teraz swoje życie.  
 — Bierz je — odrzekła Fatyma — ale mi powiedz przynajmniej, za co mnie zabijasz?  
 — Za nic! — zaśmiał się czarnoksiężnik. — Zabijam cię dlatego, abyś przed nikim nie mogła zdradzić moich czynów.  
 Mówiąc to, wyjął sztylet, zabił Fatymę, ukrył jej zwłoki w krzakach, a sam wrócił do celi, gdzie noc całą przenocował.  
 Nazajutrz wyszedł na miasto, przebrany w szaty Fatymy i okryty jej białą zasłoną.  
 Ludzie, myśląc, że to idzie Fatyma, kłaniali się nisko, prosili o błogosławieństwo lub o uzdrowienie.  
 Czarnoksiężnik udawał, że jest zajęty modlitwą i nie ma teraz czasu na rozdawanie błogosławieństwa i uzdowień. Udał się w stronę pałacu Aladyna i zaczął się przechadzać przed pałacem.  
 Badrulbudura wyjrzała przez okno, zobaczyła domniemaną Fatymę i wysłała służbę, aby zaprosiła Fatymę do pałacu. Czarnoksiężnik natychmiast skorzystał z zaproszenia i wszedł do pałacu.  
 — Od dawna cię chciałam poznać, Fatymo! — rzekła Badrulbudura. — Słyszałam wiele o twoim życiu pustelnicznym i o tym, że mieszkasz w celi, wyżłobionej w skale. Zapewne nigdy nie widziałas pałacu. Zdejm więc na chwilę swoją zasłonę i obejrzyj komnatę pałacową. Ciekawa jestem, jakie wrażenie zrobi ta komnata na pustelnicy, przyzwyczajonej do przebywania w wyżłobieniu skalnym.  
 Czarnoksiężnik z lekka uchylił zasłony, obejrzał komnatę i rzekł, udając głos Fatymy:  
 — My, biedne pustelnice, nie lubimy bogactw i przepychów. Mimo to jednak podoba mi się twoja komnata o dwudziestu czterech oknach. Byłaby to niezaprzeczenie najpiękniejsza na świecie komnata, ale brak jej, niestety, jednego upiększenia.  
 — Jakiego? — spytała Badrulbudura bardzo zaniepokojona.  
 — Brak jej jajka Roka, cudownego błękitnego jajka, które powinno wisieć na jedwabnym sznurze, przytwierdzonym do sklepienia tej komnaty. Nie wiem jednakże, gdzie ptak Rok swoje gniazda buduje i gdzie można jajko Roka dostać.  
 — Za chwilę wróci z polowania mój mąż, książę Aladyn. Powiem mu o tym jajku — może on potrafi je zdobyć. A tymczasem zaprowadzę cię do oddalonej od zgiełku ulicznego komnaty, abyś tam mogła spokojnie odmawiać swe modlitwy.  
 Badrulbudura zaprowadziła domniemaną Fatymę do cichej komnaty na końcu pałacu. Czarnoksiężnik zamknął się w tej komnacie i wyczekiwał powrotu Aladyna.  
 Aladyn wkrótce wrócił z polowania. Zastał Badrulbudurę smutną, bladą i zamyśloną.  
 — Czemu jesteś smutna, blada i zamyślona? — spytał, zaglądając jej w oczy.  
 — Nic mi nie jest — odrzekła Badrulbudura. — Właściwie nie jestem ani smutna, ani blada, ani zamyślona. Zauważyłam tylko w naszej komnacie brak pewnego upiększenia. Gdybyś potrafił ten brak uzupełnić, komnata nasza byłaby niezaprzeczenie najpiękniejsza na całym świecie.  
 — Powiedz mi tedy, czego tu brak w tej komnacie?.

Badrulbudura przechyliła głowę, zmrużyła oczy i rzekła:

— Brak błękitnego jajka Roka, zawieszzonego na jedwabnym sznurze, przytwierdzonym do sklepienia komnaty.

— Zostaw mnie samego w pokoju, a pomyślę nad sposobem dostarczenia ci tego jajka.

Badrulbudura wyszła z pokoju. Aladyn wyjął z zanadru lampę cudowną i potarł ją mocno dłonią. Natychmiast zjawił się duch błękitny i rzekł:

— Oto jestem na rozkazy twoje i tych wszystkich, którzy posiadają lampę cudowną.

— Duchu błękitny! — zawołał Aladyn. — Rozkazuję ci, abyś mi przyniósł jajko Roka i zawiesił je w tej komnacie na sznurze jedwabnym, przytwierdzonym do sklepienia!

Duch błękitny zaskrzył się cały od gniewu, uderzył skrzydłami o ziemię i krzyknął:

— Jak śmiesz obrażać mnie takim żądaniem? Nie dość, że ci zbudowałem pałac w ciągu jednej nocy — chcesz teraz, abym zawiesił na twoim suficie błękitne jajko potężnego Roka, który jest moim panem, władcą i królem? Zabiłbym cię na miejscu za tę obrazę, gdyby nie okoliczność, że tę myśl niegodną poszepnął twej żonie brat Roeoendra, podły czarnoksiężnik, co, przebrany za podstępnie zamordowaną przez niego Fatymę, znajduje się teraz w twym pałacu i ostrzy sztylet, którym ma zamiar zabić ciebie.

To powiedziawszy, duch zniknął.

Aladyn zawołał Badrulbudurę i powiedział:

— Zdaje mi się, że w moim pałacu jest w tej chwili Fatyma?

— Tak — rzekła Badrulbudura. — Dałam jej pokój osobny, aby mogła odmawiać swe modlitwy.

— Przyrowadź ją do mnie — powiedział Aladyn.

Badrulbudura przyprowadziła Fatymę.

Ledwo Fatyma weszła do pokoju, Aladyn poskoczył ku niej i ugodził ją mieczem w samo serce.

— Coś uczynił? — zawołała Badrulbudura. — Zabijeś świętą i niewinną Fatymę!

— Nie ja zabiłem Fatymę, lecz właśnie zabił ją ten, który padł od mego miecza. Jest to brat Roeoendra, czarnoksiężnik, który się przebrał w szaty Fatymy, aby wejść do pałacu i pozbawić mnie życia.

Tak zginął młody czarnoksiężnik, brat Roeoendra.

Odtąd Aladyn pędził żywot spokojny wraz z Badrulbudurą i Marudą, otoczoną zawsze rojem panien służebnych.

Po śmierci sułtana Aladyn wstąpił na tron i panował długo i mądrze pod imieniem Aladyna Pierwszego.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-sezamowe-basn-o-aladynie-i-o-lampie-cudownej>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy sezamowe, Wydaw. J. Mortkowicza, Kraków, Warszawa 1913

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: [Andrey Zeigarnik@Flickr](mailto:Andrey Zeigarnik@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.